

Ignacy Karol
Ignacy Karol Hr. Korwin-Milewski

**Wiązanka odpowiedzi Szlachcica
tudzież
słowo o tem, do czego ma dążyć
Szlachta Litewska**

55568

SKOROWIDZ.

	<i>Str.</i>
O rzekomem sobkowstwie Autora	3
Goniec Wileński	6
Słowo Warszawskie	17
Dziennik Kijowski	20
Nowa Reforma Krakowska	22
Kuryer Poznański	23
Kuryer Litewski	28
Miesięcznik Widnokreği	26
Naprzód	36
Pan Józef Montwill	38
Samopoznanie stanowe	42
Prawa obywatelskie	53
Edukacya młodzieży	59
Reforma duchowieństwa	65
O polityce szlachty Litewskiej	91

K - 333/75 / 57899

42

Wiązanka odpowiedzi.

O rzekomem sobkowstwie autora.

Jak wołające o pomoc strzały armatnie tonącego okrętu są słyszane na morzu daleko — tak i wydany przez piszącego „Głos Szlachcica“ wywołał szereg odgłosów i nie mniej namiętnych odpowiedzi w całej prasie polskiej — w Wilnie, w Kijowie, w Warszawie, w Galicyi, w Poznaniu, wszędzie tam, gdzie ziemianie mówią po polsku — posypały się artykuły krytykujące, mniej lub więcej poważnie, myśli podane przeze mnie, o tem jak należy ratować ginące ziemiaństwo na Litwie.

W poważniejszych dziennikach traktowano tę kwestyę głównie ze strony uczuciowej. Nie brakło też obok uczciwych gazet i takich piśmideł brukowych, których wymieniać nie warto. Jednak przy znacznej różnicy w zdaniach, wspólny charakter nastroju prasy porządnej, a szczególniej tej... innej — streszczał się ku mojemu wielkiemu zdziwieniu w zarzucie sobkowstwa, czyli egoizmu z mojej strony. Przeciwno temu wystąpić muszę, bo nic fałszywszego niema.

Na rzeczowe, trzeźwe dowody tego, że ja się mylę, nie zdobył się ani jeden z tych Panów Krytyków, bo nie mogli — całe ich rozumowanie kończyło się na wykrzyknikach — a u pismaków warszawskich zaczęło się i skończyło na łajance. Naprzykład jeden z tych redaktorków wynalazł, że myśli moje są identyczne z takiemiż najobszerniejszymi litwaków wileńskich, dbających jedynie o gieszft. Trochę niżej odpowia-

dam szczegółowo na krytykę prasy, siebie i innych szanującej, a na samym końcu tej wiązanki dam w kilku słowach należyłą odprawę tym... innym osobnikom, pomimo że najwłaściwiej byłoby odsunąć nogą, czy samym końcem laski ich pisaniny, jak się usuwa z drogi coś bardzo brudnego, które wolnemu przejściu zawadza.

Tymczasem dla obalenia zarzutu sobkowstwa, postawię tym moim panom krytykom tylko jedno skromne pytanie, a mianowicie: Z tych anonimowych krytyków, których większość mnie zna osobiście, czy jest choć jeden, któryby nie wiedział, że los może niezasłużenie, lecz stale, od młodości — obdarzył mnie pod wszelkimi względami wszystkim tem, o co się ludzie ubiegają, a obdarzył tak hojnie, że, stojąc już dzisiaj w siódmym krzyżyku życia, nie mogę logicznie nic innego żądać, jak tylko spokoju i jeszcze choćby kilku lat zdrowia dla nacieszenia się tem, co mnie dał los: że więc wszelkie ambicje lub dążności do wygod osobistych są u mnie najzupełniej wykluczone. Pisałem szczerą prawdę na samym początku „Głosu Szlachcica“, mówiąc, że „przyjąłem na siebie nie-„wdzięczną rolę weredyka, który, jak to zawsze by-„wa, za swoją prawdomówność otrzyma obelgi, a może „i oszczerstwa, lecz gotów jest znosić jedne i drugie „w nadziei, że to jego wystąpienie może być dla ogó-„łu pożytecznem“. Czyż doprawdy zdaje się Wam, Panowie, że nie było to powiedziane bez najmniejszej poży, bez żadnego innego celu, jak tylko jaknajgłośniej, jaknajdobitniej i jaknajjaśniej ostrzedz braci-szlachtę na Litwie o tem, że podług mojego przekonania Polska Narodowa Demokracja prowadzi ją niechybnie do zguby. A jednak, Panowie, wy mówiliście o sobkowstwie.

A więc pytam: A wy sami, Panowie Endecy, którym systematyczne podszuczanie naszej szlachty Litewskiej teoryami ani dla naszego kraju, ani dla naszego stanu niemożliwymi, dotąd stale przynoszą abonentów, pieniądze, mandaty poselskie i wcale nie zasłużone miano patryotów, czy jest między Wami

choć jeden, któryby śmiał odpowiedzieć szczerze, gdyby kto go tak zapytał o następujące:

Coby innego, jak to, co wy mówiliście, pisaliście, robiliście, wy i ojcowie wasi intelektualni — robiliby najgorsi wrogowie polskość na Litwie lub najbezpieczniejsi prowokatorzy, ażeby kraj niegdyś nawskroś w górnych swych warstwach spolszczony, pełen swobód i godności, doprowadzić czterema przez was, Demokratów dawniejszych i obecnych, wywołanemi klęskami, do nędzy, do poniewierki—do stracenia wolnych obywateli w kastę helotów na własnej ziemi?— a jednak po każdej nowej klęsce znowu wy, Narodowi i inni Demokraci, tak jak praojcowie Wasi duchowi, masony z Warszawy i Wilna, pchaliście tę naszą szlachtę do zguby i pchacie ją dalej, zawsze i niechybnie tylko dlatego, że spodziewaliście się wtedy i spodziewacie się jeszcze i teraz przez ruinę tej naszej kasty szlacheckiej i przez górowanie demokracji, do sięgnięcia jakichś wygod własnych?

A więc, gdzie tu jest sobkowstwo? Czy ze strony tego Litwaka magnackiego, jak mnie najśmieszniejszy z waszych pismaków nazywa za to, że, mogąc żyć spokojnie na swojej wyspie w pałacu książęcym, otoczony arcydziełami sztuki wyłącznie polskiej, wśród woni magnolii i róż — dobrowolnie tracę drogi czas ostatnich lat mojego życia na kassandrowe przestrogi?

Czy też sobkowstwo nie bije w oczy z waszej strony, Panowie Narodowi Demokraci, którzy to po raz piąty od blisko półtora wieku pod różnemi nazwami, raczej maskami pseudopatryotów, demokratów narodowych i socjalnych, postępowców i t. d., pogrążacie coraz głębiej w przepaść ziemiaństwo litewskie?— Odpowiadajcie, jeśli starczy Wam na to cywilnej odwagi!

Odpowiedź łatwa, lecz nie od was ona wyjdzie — przyjdzie od tej szlachty polskiej, osiadłej na Litwie, którą zawsze systematycznie podburzaliście, Wy, Demokraci różnych pokoleń, przeciwko szeregowi rządów porobiorowych, z których najgorszy był jednak lepszym od was i o wiele mniej od was nam, szlachcie

tutejszej, zaszkodził. Nie, nie, cokolwiekby wasi mędracy tam pisali o mnie, jakkolwiekby wymyślała, czekała zgraja redaktorska idących za wami piśmidei warszawskich, nie; strzał był dobrze wymierzony, bo trafił was w głowę. Panowanie wasze nad obalamucną opinią publiczną na Litwie kończy się widocznie, ci, co zahukani przez was do niedawna milczeli, zaczynają coraz głośniej mówić, ci, co byli zaślepieni, zaczynają widzieć was w prawdziwym świetle, i niedaleki już ten czas, kiedy ogół ziemiaństwa Litewskiego, otrzeźwiony i skruszony, zwróci się po radę nie do was, lecz do tych, co myślą, jak ja.

Zaczynam wiązanekę odpowiedzi:

Goniec Codzienny.

Od czasu jak wydałem „Głos Szlachcica“ i w Wilnie „Goniec Codzienny“ zaczął na mnie napadać z początku w sposób, który wolę nie na tem miejscu kwalifikować, pierwszy raz ów patentowany organ demokracji narodowej na Litwie w Nr. 166 wydrukował artykuł pod tytułem „Refleksye wyborcze“, na który warto i trzeba odpowiedzieć, następny, też poważnej treści, ukazał się jako „Głos Realisty“ w Nr. 181 Gońca. Oba są podpisane przez pana J. H.

Odpowiadam: do wszystkich innych artykułów Gońca o mnie najzupełniej stosuję aforyzm francuski: „miotasz się, a więc nie masz racji“. Do tego jednak, co pisze tym razem p. J. H. treściwie, umiarkowanie, trzeba zastosować inną metodę. A mianowicie: krytykę spokojną całej teorii wyżej wspomnianego autora.

Opiera się takowa na przesłankach, mojem zdaniem, z prawdą historyczną i z prawdą życia obecnego w najzupełniejszej sprzeczności będących. Autor pisze: „byłoby więc conajmniej bezpłodną stratą czasu, gdyby ktoś zalecać chciał politykę sprzeczną z psychiką i tradycją, czy to całemu społeczeństwu polskiemu na Litwie, czy choćby jego warstwie z ziemiaństwa“.

Zgadzam się z tem najzupełniej, ale pod warunkiem, ażeby mówiono o prawdziwych dawnych tradycjach polskich, a nie o stosunkowo niedawnych naleciałościach francuskich, z rewolucyjnego klubu Jakobinów wziętych, w znacznej części czysto masonskich, a tylko na kolory polskie przemalowanych. Można też mówić o psychice takiej, jaką ona jest, ale nie o takiej, jakaby ją demokracja narodowa mieć chciała. Można dyskutować o zdaniach i faktach. O snach, o mrzonkach dyskutować nie można.

A mianowicie, autor twierdzi, iż „zasadniczą cechą tradycji ziemiaństwa naszego było poczucie pokrewieństwa i obowiązku społecznego względem ludu miejscowego“—kiedy i gdzie tak było—o tem milczy pan J. H. Tymczasem tradycje szlachty polskiej, to jest jedynych dawniej pełnoprawnych obywateli Rzeczypospolitej, była wręcz przeciwną; o czem tak uczony człowiek, jak p. J. H. — sam szlachcic z dawnego rodu — bene natus i possessionatus, nie wiedzieć żadnym sposobem nie może. A więc dlaczego mówi przeciwnie?

Nasza szlachta polska nad Wartą i Wisłą, a cóż dopiero nad Niemnem i Wilią uważała siebie przez długie wieki za naród osobny; szeregiem konstytucji sejmowych sama ten mur chiński, który ją od ludu miejscowego, to jest od kmieci oddzielał, stale konsekwentnie wzmacniała. Jeszcze przed pół wiekiem— przed oswojeniem włościan, każdy szlachcic herbowy na Litwie, czyli, jak go autor p. J. H. zawsze nazywa, „ziemianin“ uważałby za krwawą obrazę przy pisywanie mu pokrewieństwa „z ludem miejscowym“, t. j. z chłopami. Było wręcz przeciwnie temu, co twierdzi Szanowny Pan J. H. Szlachta polska była kasty przejętą do szpiku kości najjawniejszą wyłączością rodową. Nawet względem takich, którym za zasługi nadano szlachectwo, czyli jak wtenczas mówiono, „w poczet synów ojczyzny przyjęto“, słowo „nobilowany“ było zawsze ubliżającym. A więc tradycja, przypisywana „ziemiaństwu“, to jest szlachcie przez Pana J. H., jest bardzo piękną, może nawet w dalekiej

przyszłości stanie się rzeczywistością, ale tymczasem ma ten kardynalny defekt, że jako tradycja nigdy nie egzystowała, a więc jest poprostu zmyśloną, a więc jest nie faktem, lecz mrzonką — snem — w przeszłości!

Jeszcze gorzej ma się rzecz z psychiką, czyli stanem duszy ziemiaństwa naszego, przynajmniej jego większości, pod komendą Endeków idącej. Ten stan jest, niestety, bardzo smutnym, można nawet powiedzieć zatrważającym, bo składa się na to zbyt wiele iście demokratycznych czynników—szkodliwych wszędzie, a wprost zabójczych u nas na Litwie. Przede wszystkim u bardzo wielu ziemian bije w oczy niesłychane nieuctwo i niewytłómaczona niechęć do wszystkiego, co pomiędzy nimi jest społecznie wyżej postawione, albo choćby na to jakoś wygląda. U większości dziecinna wiara w górnolotne, lecz puste słowa czy hasła warszawskich politycznych kuglarzy, połączona z nieszczerością w powtarzaniu takowych, a u wszystkich — zupełny zanik cywilnej odwagi.

Gdy więc w takiej psychice ktoś się raptem dziś dopatruje nieprzewycięzonego dążenia do bratania się z ludem, czego dawniej nigdy nie było, a dziś egzystuje tylko na słowach u panów, co taką lub owaką korzyść myślą wyciągnąć z podobnego gadania, — to ten Pan Ktoś się grubo myli, dlatego, że tu oczywiście trzeba użyć nie słowa psychika, lecz słowa psychoza, a takową należy nie chwalić—ale leczyć.

Nie powinien więc mówić o tradycji i o psychice ten, który opiera swe wywody wcale nie na prawdzie historycznej lub społecznej, ale tylko na zachciankach i mrzonkach choćby najszlachetniejszych. Można pisać o utopiach socjalnych co się komu podoba, historii narodowej przekręcać nie wolno.

Zupełnie co innego byłoby, gdyby Szanowny Pan J. H., porzucając urojone, zmyślane „tak było“, powiedział szczerze i otwarcie „tak powinno być“, bo to jest rzecz gustu. Przecie jeszcze nieboszczyk Jowisz w starożytności powiadał: „Sic volo, sic jubeo, sit pro ratione voluntas“.

Z temi daje się dyskutować pomimo drugiego łacińskiego aforyzmu: „de gustibus non est disputandum“. Dlatego daje się dyskutować, że w obecnej chwili, jak to sam autor przyznaje, jak to przyznają wszyscy przedstawiciele wszystkich partyi, od kierunku, który teraz i w najbliższej przyszłości obierze społeczeństwo polskie na Litwie osiadłe, a nazywając rzeczy po imieniu, ziemiaństwo tutejsze o polskiej kulturze — zależy w znacznej części jego egzystencja lub jego zagłada, a więc życie czy śmierć. Mówmy więc jasno i szczerze, bo położenie jest zaiste tragiczne, a zbyt wielu mamy nieprzyjaciół, od których bronić się trzeba, ażeby sami siebie zabijać.

Pomimo, że samobójstwo jest przez Kościół święty katolicki za najcięższy z grzechów uważane, jednak opinia publiczna w razach, gdy ten akt wywołanym został nie chorobą umysłową, lecz chęcią wyjścia z rozpaczliwego położenia, uważa go za wytłómaczony. Nawet we wszystkich wojskach w świecie czyn wojaka, który okręt lub prochownię podpala, skazując i siebie i towarzyszy swoich na śmierć niechybną, byleby się nie poddać przemocy wroga, jest uważany za bohatera. Wychwalają go historycy i poeci, a imię jego przez wiele pokoleń żyje w pamięci i w sercach ludzkich.

I nasz wieszcz litewski, w najwznioślejszym ze swoich utworów lirycznych, artystycznie najpiękniejszym nie tylko w literaturze naszej, lecz i we wszystkich innych nowoczesnych (mówię o „Reducie Ordon“), wychwalał czyn podobny. A kończy on tam szereg swych wierszy wspaniałych przekleństwem na zwycięską Monarchię Rosyjską — „Bóg ją wysadzi, jak on swą redutę“.

Wolno więc i innym tak myśleć—byleby szczerze; wolno i panu J. H.

Ale jakże szara rzeczywistość inną jest od promienistej poezji. Bóg zwycięskiej Monarchii nie wysadził, przeciwnie, rosła ona w potęgę i znaczenie, a podpułkownik Ordon, który życia pozbawił wielu pocziwych wiarusów, co go o to wcale nie prosili, sam oparzony

i ranny, dowlókl się do Warszawy i w emigracji dożył lat sędziwych. Znałem go, jako młodzieniec, we Florencji; był to starzec cichy, małowówny i nie lubiący wspominać o przeszłości, bo żał mu było tych ofiar niepotrzebnych, które na tamten świat przedwcześnie wyprawił.

A więc ponieważ wszystkie opinie są dozwolone (byleby szczere), może i p. J. H. zalecać w imię rzekomych tradycji i psychiki, a raczej psychozy polskiej choćby samobójstwo społeczeństwu polskiemu na Litwie, lecz niech to czyni jawnie, wyraźnie, a nie pod płaszczem wielbiciela nibyto tradycji, której w rzeczywistości nigdy nie było, — i dobrze wiedząc, że tak nigdy nie było.

Pomimo tego rozmijania się z prawdą, silnie posądzam p. J. H., iż wierzy w Sprawiedliwość tego celu, do którego dąży, i chciałbym tylko, ażeby w razie, gdyby rzeczywiście był przekonany, nie tak, jak przeciętny narodowy demokrat „pour les besoins de la cause“, ale szczerze, że walka z Rządem Rosyjskim nie jest jawnem samobójstwem społeczeństwa polskiego na Litwie, zechciał kiedyś powiedzieć nam, jakimże to praktycznym sposobem to malutkie nasze społeczeństwo polskie, ta nieszczęśliwa garstka helotów politycznych nad Wilią ma się oprzeć potędze Rządu, za którym przeciwko nam stoi nie tylko niezłamana siła materyalna, ale też i de facto cała szlachta, cała zdrowa jeszcze inteligencja Cesarstwa Rosyjskiego? Przedewszystkiem niech no pan J. H. nam powie, jakim sposobem mamy tu na Litwie nie uleść zagładzie, jeżeli postępować będziemy podług recepty narodowej demokracji z nad Wisły, podług rozkazów jej dyktatorów, apostołów i działaczy — którzy o naszych specjalnych oplakanych warunkach miejscowych zazwyczaj nie mają żadnego pojęcia, a dobrze wiedzą tylko jedno, że za pomocą narodowej demokracji dobywać można mandaty i pieniądze?

Ja w swoim „Głosie Szlachcica“ wypowiedziałem dobitnie i jasno, jak się mamy ratować. Czekam na to, co powie Szanowny Pan J. H. o ratunku sposobem

innym, to jest wskazanym przez Narodową Demokrację.

Lecz nim to uczyni p. J. H., chcę tu wyrazić moje zdumienie z powodu głównego ustępu jego artykułu. Mówi on: „Łatwo oczywiście wyliczyć te straty materyalne, jakie spadły na ziemiaństwo nasze z powodu dzielenia przez nie złej doli narodu“.

Nie, Szanowny Panie J. H., niełatwo, oj, niełatwo, bo jeżeli z piórem w ręku można podsumować ten milion z górą dziesięcin, które na Litwie i Białej Rusi z rąk szlachciców polskich wyszły przez trzykrotne okresy konfiskat, to któż obliczy tę krew, którą przelewali synowie, te potoki łez, co wylały matki? kto obliczy cyframi straty praw naszych na Litwie, języka, uniwersytetu, sądów, samorządu, sejmików i tak dalej...

A kto obliczy ciężar tych żelaznych kajdan, które tysiące okutych po rękach i nogach skazańców ze szlachty litewskiej wlokło całemi latami, idąc piechotą od etapu do etapu z Wilna do Nerczyńska? kto obliczy te baty, co w kopalniach spadły na ich okrwawione plecy? kto obliczy tę żółć nienawiści, która na całe pokolenia serce całego narodu szlacheckiego zalała, zmarnowała mu życie, i jak murem ze stali uniemożliwiła pójście po jedynej drodze zbawienia, wiódącej przez zapomnienie krzywd i krwawej przeszłości, do zgody z Rosją — bez której niema życia w bycie narodów w jej skład wchodzących.

Nie, Panie J. H., tego ani Pan, ani żaden demokrat nawet Nadwiślański obliczyć nie może. Jesteś Pan zbyt młody, aby tę straszną tragedję pamiętać. A ja byłem jej świadkiem. W głowie u Pana jeszcze zielono, a mnie już bliżej do czarnej jamy grobowej. Ja widziałem i wiem — i dlatego chcę i muszę wam, Demokratom wszystkim, w oczy bez żadnej dyplomacji powiedzieć. Nie te obalamucone, okłamate, okrwawione ofiary, które wileńskie sądy wtedy skazały, były zabójcami naszej przyszłości na Litwie, zbójami byli ci demokraci z Warszawy i Krakowa, co szlachtę litewską bałamucili, okłamywali i pchnęli do idyo-

tycznego, szalonego powstania, właśnie w tej chwili, kiedy młody wówczas Cesarz Aleksander II nie tylko że widocznie szczerze chciał się zająć polepszeniem losu swoich polskich poddanych na Litwie, ale już był do tej szlachetnej roboty przystąpił. Winnymi byli nie ci Litwini, którzy wtedy poszli na Syberyę, ale ci gazeciarze, ci spiskowcy warszawscy, którzy szlachtę litewską na ruinę i śmierć posyłałi, a sami, gdy już wszystko przepadło, z pieniędzmi narodowymi uciekli zagranicę.

A cóż nam się dostało za tak krwawe ofiary, poniesione przez cały naród szlachecki na Litwie dla solidarności z politykami z nad Wisły? O tem też poucza nas Pan J. H. i mówi tak: „Nie trzeba przecież zapominać, że ta łączność dała też nam i skarby „najdroższe; ona to stworzyła nasze oblicze duchowe „i t. d.“ Cóż to za oblicze? Czy rumieńcem oblane oblicze tych pozostałych, którzy po 1863 roku musieli czołgać się u stóp zwycięzców, tych samych zwycięzców, których pierw sami bezczelnie wyzywali, aby po klęsce wyzobrazić zwrot majątku, ulaskawienie ojca, lub życie syna? Czy też może olimpijskie pyzate oblicze tych dyktatorów endeckich, co nam niedawno wmawiali i dotąd wmawiają, że nie tylko w imię niemożliwych ich mrzonek, lecz i we własnym interesie trzeba nam dalej kroczyć pod ich komendą, bo czują, iż już tu na Litwie zaczyna się tak jak ongi w Galicyi, otrzeźwienie, i że coraz więcej jest takich, co widzą jedyne dla nas możebne zbawienie na drodze wytkniętej w Galicyi przez Stańczyków, to jest w bezwarunkowym poddaniu się Woli Bożej i konieczności dziejowej, — mówiąc wyraźniej, w bezwarunkowej lojalności względem naszego prawowitego Monarchy? Czują i dlatego napadają na tego, co im w oczy prawdę mówi, a maski zdziera. Oblicze? jakieś duchowe... niewidzialne — urojone — u nas jednych w gazetach „poważne“, lecz przez innych co najmniej nie uznane, jeżeli nie sponiewierane i wyszydzone... Nie, Panie J. H., zbyt boleśnie mówić o takim obliczu — a dziś, po nowej klęsce przez nas jednych wywołanej prze-

ciwstawić tyle złota, tyle krwi, tyle łez, tyle ziemi na zawsze straconej, jako cenę za „oblicze“, choćby najbardziej duchowe — podług mojego najgłębszego przekonania — nie godzi się, bo byłoby to urąganiem nad zwłokami biednych naszych litewskich męczenników, poległych dla tej fatalnej, dla nas zgubnej solidarności z Królestwem Polskiem, dla tej solidarności, którą wszyscy synowie powinni byli na zawsze zapomnieć, a wszystkie matki przeklinać.

W drugim artykule pod tytułem „Głos realisty“, tenże Pan J. H. już czuje, jak sprzeczną z historią, z życiem prawdziwym, nawet z prostą logiką jest zasada Narodowej Demokracji, polegająca na podporządkowaniu u nas na Litwie najżywoźniejszego interesu drobnego narodu szlacheckiego tym niedorzecznym mrzonkom o brataniu się (dla nawrócenia do polskości) ze stokroć licznie od nas silniejszymi Litwinami i Białorusinami, dotąd nam wrogimi stanowczo, a marzącymi o zupełnem wytepieniu nas w przyszłości. Pan J. H., ażeby odwrót swój politycznie zamaskować, wyszukał sobie na szpaltach warszawskiej gazety „Słowo“ w Nr. 487 spadłego z księżyca utopistę, który w artykule pod tytułem „Zagadka dziejowa“, wynalazł sposób niechybny dla urzeczywistnienia narodowo-demokratycznego programu.

Ten sposób jest: „Zwrócić się z sercem gorącym „do ludu...“ Otóż tego Pana, z upałem w sercu, który podpisuje się „Ja“, ochrzcił Pan J. H. imieniem realisty i tryumfalnie oznajmia swym czytelnikom: Macie realistę ze „Słowa“, który mówi, jak my, Endecy, a nie tak, jak „Głos Szlachcica“.

Zaiste, ładny mi realista ten Pan „Ja“ ze „Słowa“, i oto co on radzi nam, szlachcie, uczynić przeciwko ciosom, które raz po raz na nas spadają — „zwrócić się do ludu! rozumie się, z gorącym sercem“, przejąć się szczerze jego niedolą, jego potrzebami, pomagać dźwigać się we wszystkich kierunkach... stać się czynnikiem dobra, duchem opiekuńczym upośledzonych mas i t. d.

Myśli zapewne czytający, że narealistowany przez

Pana J. H. marzyciel „Ja“ ze „Słowa“ mówi tu o tej ubogiej, ledwo kilkudziesięciotysięcznej szlachcie polskiej na Litwie, kość z kości naszych i krew z krwi naszej, polskiej, katolickiej i „urodzonej“ do szpiku kości, o tej szlachcie, która jest jedyną, powtarzam—absolutnie jedyną, pewną ostoją tradycji zachowawczej ziemiańskiej na ogromnej przestrzeni Litwy i Białej Rusi? Ale gdzie tam! Toż byłaby kastowość! Ci Panowie mówią o Ludzie, to jest o nienawidzących nas chłopach, a szlachta—to są Mamuty, niech sobie giną!... Tem lepiej.

Trzeźwemu czytelnikowi zdawałoby się, że Pan „Ja“, gdy radzi „przejąć się szczerze niedolą“, myśli o narodzie szlacheckim, o tych przedstawicielach szlachty polskiej, co siedzą w nędznych zaściankach, często na kilku tylko zagonach, na których coraz żałośniej marnieją, bo odepchnięci od Seminarium przez rozwielnione chłopstwo, od służby krajowej przez rząd, przeciwko któremu trzykrotnie powstawała za namową warszawskich szaleńców politycznych, odepchnięta od dzierżawienia folwarków zamożniejszej braci przez żydów spekulantów, a odsądzona od czci i wiary przez socjalnych demokratów Nadwiślańskich—szlachta ginie. Jeżeli jest niedola w tym kraju—to chyba ta.

Takby się też zdawało, że powinno być, gdy się mówi o zachowaniu resztek polskości na Litwie—ale gdzie tam — to znowu byłaby kastowość! „Kastowość“, mój Panie, a więc ohyda, przed którą wzdryga się cała falanga Endeków. Nie — Pan pseudo-realista „Ja“ ze „Słowa“, przyjęty za wzór przez Pana J. H. z „Gońca“, i On sam szersze mają poglądy. Przedewszystkiem precz z kastowością — dobre to dla zapleśniałych mamutów, jak piszącego nazywa Dziennik Poznański, albo dla Litwaków magnackich, jak mnie ochrzcili szwabcy neofici z warszawskiego „Porannego Kuryera“.

Zalecony przez Pana „Ja“ sposób ocalenia polskości, ginącej na Litwie razem ze szlachtą, jedyną jej przedstawicielką tutejszą, — jest zupełnie inny i ro-

zumie się daleko lepszy: „Gorące serce, Mospanie, „gorące serce, zwrócone do ludu — to nie zawodzi nigdy“ — i basta.

Ale czemże ma w praktyce być to „gorące serce“? co ma znaczyć to pompatyczne hasło? O tem nikt nie chce mówić. O tem pan „Ja“ i Pan J. H. z „Gońca“ uporczywie milczą, na te żywotne, szczerze pytania odpowiedzi niema i nigdy nie będzie ze strony tych demokratów narodowych, którzy z systematycznego bałamucenia społeczeństwa polskiego na Litwie zrobili intratne dla siebie, a nawet, jak sobie wyobrażają, zaszczytne rzemiosło. A więc dajmy tu odpowiedź za nich.

Poza brzękiem górnolotnych słów, pozbawionych konkretnego znaczenia, to „gorące serce“ znaczy na wsi, że pastuchy Maciuk, Kaziuk i Hryniuk mają być nauczani po polsku w tajnej prywatnej szkółce, którą szlachcic-obywatel ma otworzyć na własny koszt i utrzymywać, póki „stanowy prystaw“ nie przyjedzie jej zamknąć, sąd okręgowy nie skaże szlachcica na grzywnę, jeżeli nie na kozę, a władza administracyjna na trzyletnią „zsyłkę“ w głąb Rosyi. Rozumie się, że zamknięcie każdej takiej szkoły „gorącego serca“ nastąpi, tak jak dotąd następowało, zawsze i niechybnie tylko w skutek donosu tegoż Maciuka albo Hryniuka, raptem niezadowolonego z tego, że „gorące serce“ obywatela jednak nie pozwoliło Hryniukowi poza godzinami wykładów kraść drzewa z lasów i zboża ze śpichlerza dziedzica.

To „gorące serce“ znaczy, że Pani zaniecha pilnowania domowego ogniska i wykształcenia córek, aby pod sekretem rozdawać babom białoruskim polskie książki do Nabożeństwa, medaliki, szkaplerze, a szczególnie pieniądze i lekarstwa, które następnie są wylewane na śmietnik, bo „pany trując biedny narod, kab durny był“, podczas gdy pieniądze użyte są na zakup wódki.

„Gorące serce“ to znaczy w mieście, że majster wileński, mówiący po polsku na zasadzie „chleb dla swoich“, ma otrzymać obstalunki za cenę wyższą od

praktykowanych w Londynie, aby je w tej chwili z drugiej ręki oddać partaczom żydowskim, przepić różnicę i gardłować za Narodową Demokracją, która go wyzwoli od „wyzysku“ Panów i burżujów.

„Gorące serce“ też znaczy, że za pieniądze szlachty będą się otwierać Ochronki, Oświaty i Macierze, w których będzie się wygłaszało potajemnie idyotyczne teorie nienawiści dla Rządu Rosyjskiego i szlachty polskiej na Litwie, a jawnie wydawać przy gospodarce Endeckiej pieniądze, zebrane u tejże szlachty zbiedniałej, marnować ten grosz wdowi, który zniknie bez śladu, gdy Rząd wszystkie te zakłady zamknie i opieczętuje, jak to zrobić musi.

To „gorące serce“ też znaczy, że odłużony, przynębiony szlachcic z pustą kieszenią, ale gorącym sercem, bez szemrania pozwoli chłopom-sąsiadom worywać się w uszczuplone pradziadowskie pola, kraść snopy ze skąpego urodzaju, a na pociechę słuchać cierpliwie, jak jego parobki rozprawiać będą o czasie już blizkim, gdzie „buduć ziemiłu rezati i panou rezati“.

A więc podług ich, to jest narodowych demokratów, recepty z „gorącym sercem“ trzeba, ażeby szlachta nasza, polska, wszystko oddawała, wszystko odstępowala, swój majątek i przyszłość dzieci swoich; trzeba więc własnoręcznie zarznąć szlachtę i przynieść ją w ofierze całopalnej ludowi, to jest chamom rozbestwionym, którzy o polskości ani słyszeć nie chcą, nigdy już spolszczyć się nie dadzą, jak nie dali się spolszczyć przez lat 500. Przecież oni jednej rzeczy tylko w duszy wszyscy pragnęli i pragną, a nawet już coraz częściej głośno żądają, to jest odebrania życia i mienia tym swoim nieproszonym dobroczyńcom, którzy podług Narodowo-Demokratycznego programu kłaniają się im, a nie Cezarowi — nie Cariu — a psariu.

A gdy na koniec bank czy żyd-kredytor sprzeda ostatni folwark szlachcica i oprócz torby dla siebie zostanie mu tylko gorące serce dla ludu, a sam wyśmiany i oplwany przez tenże lud da się wygnać z pod strzechy pradziadów, to wtedy może gazety endeckie

zaczną chwalić tę szlachtę otiarną, bo przecie wtedy z braku Polaków na Litwie nie będzie już kastowości żadnej i łopata przygrzebią ostatniego z tych mamutów, co podług Dziennika Poznańskiego żyją dotąd tradycją królewiąt przedrozbiorowych.

Ale za to wtedy Pan „Ja“ ze „Słowa“ lub inny jemu podobny — pompatycznie ogłosi, że pozostała „przynajmniej wdzięczna pamięć o imieniu polskim“, podczas gdy Pan J. H. z Gońca lub inny takiż „z łatwością obliczy“, co przypadło, z tem większą łatwością, że to obliczenie streści się w jednym słowie — wszystko.

Słowo.

Na artykuł Słowa — pod tytułem „Zagadka dziejowa“, w Nr. 487, przez Pana „Ja“ pisany, a w Gońcu Codziennym przez Pana J. B. przedrukowany, odpowiedziałem, jak wyżej, prawie zupełnie wyczerpująco, zostaje tylko do sprostowania ustęp, który brzmi jak niżej, a może jest najważniejszym z całego artykułu, gdyż zawiera tendencyjne przeistoczenie faktów historycznych w przeszłości i teraźniejszości, tak zręcznie przedstawione, że mogą nasze ziemiaństwo wprowadzić w błąd niebezpieczny, wmawiając nam, że Królestwo Polskie nas Litwinów czemś obdarza i na wdzięczność naszą zato zasługuje. Otóż jest wręcz przeciwnie, a mianowicie: Pan „Ja“ pisze „Stamtąd (z Warszawy) płynęły zawsze i płyną aż do dni naszych siły „niepospolite, do życia narodowego niezbędne, a przy „najmniej wielce pożądane — ludzie dzielni, talenty, „wiedza, energia — a tego duża obfitość“. Są to piękne słowa, świadczące o idealnym usposobieniu Pana „Ja“ i jego gorącym patriotyzmie warszawskim, ale niestety, z prawdą życiową te słowa rozchodzą się stanowczo. Ani dawniej tak nie było, ani teraz nie jest tak, jak pisze Pan „Ja“. Historia nas uczy, że nie my Litwini, ale rdzenna Polska najwięcej korzystała z Unii. Daliśmy jej jedyną dynastję, która jej sławę

przyniosła. Z niewielkiego narodu stała się Polska jedynie przez Unię z Litwą i wtedy podbitymi przez Litwę ogromnymi krajami ruskimi, państwem pierwszorzędnym w ówczesnej Europie. Najdzielniejsi jej wodzowie: Chodkiewicz, Sapiehowie, Wiśniowiecki, Żółkiewski, Sobieski, Kościuszko — nie Polaków rdzennych, ale naszymi byli ziomkami; pochodzili z Litwy i Rusi — Mickiewicz, Słowacki, Niemcewicz, Syromkła, byli nasi — Adam Czartoryski, Czacki, Lubbecki również. Uniwersytet wileński, a nie krakowski był w przeszłym wieku najświetniejszym w kraju. Zbyt długo byłoby tu wyliczać imiona, które dowodzą, że, jeżeli już mamy prozaicznie liczyć przez debet i credit, kto komu więcej winien, to bilans pokaże nam, że my Litwini jesteśmy nie dłużnikami, ale stanowczo wierzycielami rdzennej Polski. Cóż więc znaczą słowa pana „Ja“ pompatyczne, ale nie na prawdzie osnute? przechwałka — nic więcej. A jeżeli mamy znowu tu mówić o jedynej rzeczy, którą rzeczywiście my, Litwini, Polsce zawdzięczamy, o tej kulturze, zwanej polską, którą nam ciągle wytykają, która w rzeczywistości była nie samorodną, lecz żywcem z Niemiec i z Włoch, a pod koniec już tylko z Francji wziętą — toż przecie do jej rozwoju przyczynili się narówni panowie litewscy i ruscy, jak i rdzenni Polacy. A więc i w tym względzie nie tak wiele mamy do zawdzięczenia Warszawie.

Kultura ta niegdyś — niegdyś była rzeczywiście pierwszą w Słowiańszczyźnie, ale dziś — tylko o mało przewyższa rosyjską, a stanowczo ustępuje czeskiej. Do szczęścia naszego na Litwie nic a nic nie dodaje; a nawet, pomijając na chwilę względy uczuciowe pietyzmu i, że tak powiem, serca, które wbrew logice i rozumowi mają tak często u nas znaczenie decydujące — szkodzi. Jeżeli dotąd warto i trzeba (jak to w Głosie Szlachcica dobitnie wypowiedziałem) nam, szlachcie litewskiej, tę kulturę polską zachować, pomimo jej już tylko względnej wartości subiektywnej — jeżeli warto i trzeba nam trzymać się tej kultury oburącz, to najpierw z czysto utylitarne go powodu. Ten

powód polega na tem, że niema czemś lepszym jej zastąpić, a jeszcze więcej na tem, że pomimo bajek, a często wprost bredni narodowej demokracji, jest dotąd ta kultura polska na Litwie na wskroś zachowawczą — we właściwym greckim sensie tego słowa arystokratyczną. W chwili zaś, gdy pod parciem szczerych i nieszczerych demokratów — tych bezwiednie ślepych i tych świadomych złoczyńców — uległaby przewrotowi i przestałaby być, czem dotąd u nas była — to ta kultura straciłaby nie tylko prawdopodobnie resztki swojej obecnej dla nas wartości, ale bezwarunkowo straciłaby całą tę siłę odporną, która ją dotąd broni od zagłady. Wtedy, i dopiero wtedy trzebałoby było raz na zawsze pod Pogonią Litewską Jagiellonów napisać słowa: Finis Poloniae, bo wtedy już w drugiej po nas generacji na Litwie i Rusi, zalanej wrogiem nam chłopstwem, nie zostałoby z tej kultury nawet i wspomnienia, a ustrój Monarchiczny Wszechrosyi znowu straciłby w osobie tej zbałamuczonej, ale pomimo wszystko, dotąd jeszcze zachowawczej szlachty jeden z coraz rzadszych, coraz więcej chwiejnych filarów, na którym dotąd był oparty i opartym zostawać mógłby na wieki.

Ale jeżeli można jeszcze, choć tylko od biedy, twierdzenia Pana „Ja“ co do przeszłości rozbierać, to jakże beznadziejną, jakże okrutnie śmiesznią dla jego teorii przedstawia się terażniejszość! Toż przecie już od pół wieku przybysze z nad Wisły do Litwy należą, niestety, wyłącznie do dwóch tylko kategorii: tak zwane artystki, z których młodzi tylko ziemianie litewscy są bardzo zadowoleni, a obok tych Pań, zastępy agentów, plenipotentów lub rządców majątków, z których starsi z pomiędzy nas są zadowoleni daleko mniej, bo najprzód są to przybysze „Proszę Pana“ — zawsze wierutni blagierzy, a zbyt często wierutni oszuści. Można więc o tych dwóch kategoriach jedno tylko powiedzieć, że lepiej, aby ich tu wcale nie przysyłała nam Warszawa, która według pana „Ja“ posyła nam wiedzę, talenty i energię.

Pomimo najlepszych chęci nic podobnego w no-

woczesnych przybyszach warszawskich my, Litwini, dopatrzeć się nie możemy. Ani artystki, ani blagierzy warszawscy nie są nam „do życia narodowego niezbędni“. Zdaje mi się nawet, że wbrew przeciwnie.

Oprócz tych dwóch artykułów, na które odpowiedziałem wyżej, „Goniec Codzienny“ w Nr. 172 przedrukował z Dziennika Kijowskiego napaść na mnie, której tu daję odprawę.

Dziennik Kijowski.

Pod tytułem „Bez maski“ pisze o mnie zamaskowany „Czarny Jegomość“ z Dziennika Kijowskiego wiele rzeczy zrozumiałych, a jeszcze więcej zupełnie niezrozumiałych, gdyż są nie mniej od samego autora frazeologią zamaskowane. Ponieważ zdania p. Czarnego Jegomości są wypowiedziane w formie stanowczej, z ciąglem wymienianiem mojego nazwiska, nie mogę o tem przemilczeć.

Przedewszystkiem stwierdzam, że autor anonimowy przyznaje, iż wypowiedziane przeze mnie myśli „mają na kresach wielu cichych zwolenników i wyznawców“. To samo na wstępie mojego listu otwartego pod tytułem „Głos Szlachcica“ na pierwszej stronie powiedziałem.

Zgadzam się nawet i z tem, że jestem nieco podobny do tego „straszego dziecka“, które; aby cytować słowa p. Czarnego Jegomości — „na cały głos papie to, o czem inni w cichości ducha swego marzą“.

Tak — jestem „straszem dzieckiem“, o tyle nawet straszniejszym, że, mając 64 lata, już widziałem powstanie 1863 r., rozbitcie Monarchii Napoleona III, bratobójczą Paryską Komunę, a niedawno sromotne bankructwo waszej Narodowej Demokracji, za którą cały naród teraz pokutować musi. Wszystkie te klęski widziałem na miejscu — własnymi oczyma; mogę więc z pełną świadomością rzeczy „paplać“, jak to pisze p. Czarny Jegomość, o matactwach tych krzy-

kaczy, tych pisarzy bez głowy, a często i bez serca; tych narodowych i nienarodowych demokratów, którzy gębą i piórem wszystkie te klęski wywołali, biorąc na sumienie krew przelaną i ruiny niczem niepowetowane wszędzie, a u nas na Litwie — formalne samobójstwo narodu.

Tak, dzieckiem jestem straszem, bo przecież mnie żadne urojone wielkości tak dziennikarskie, jak parlamentarne, nigdy nie imponowały, a wszystkim tym, co świadomie lub bezwiednie krzyczą, piszą, agituja dla zguby narodu, mówię z „przedziwną szczerością“, bez ogródek w oczy i za oczy: „jesteście naszymi zabójcami politycznymi, bo nasz liteswki naród zgubiliście świadomie“.

Dalej Czarny Jegomość pisze, że dla mnie „człowiek się zaczyna od biernego wyborcy do Rady Państwa“. Z tego widać, że jest niezawodnie odczytany i zna aforyzmy, przypisywane księciu Windischgraetz przed kilkudziesięciu laty, ale jeszcze niezawodniej widać to, że p. Czarny Jegomość pisze o moim liście otwartym, a jednak go nie czytał. Gdyby to uczynił, zobaczyłby, że mnie interesuje nie tylko większa własność, ale i mniejsza, a więc cały naród szlachecki na Litwie, który przez wieki był i nawet dotąd po części jest na Litwie i Rusi przedstawicielami europejskiej kultury, czyli, jak Niemcy mówią, kulturtregerem, w najlepszym sensie tego słowa.

Nakoniec p. Czarny Jegomość szeroko się rozpisuje o tem, jakie mogą być następstwa zalecanego przeze mnie dobrowolnego odosobnienia szlachty polskiej na Litwie od innych jej wrogich narodów tamże zamieszkałych.

Są to przypuszczenia na niczem nie oparte, a więc „sunt verba et voces, praeterea que nihil“.

Natomiast są faktami niezaprzeczonymi, okropnie bolesnymi, a niczem niepowetowanymi te klęski, które na nas, Litwinów, sprowadziły politykowanie i demokratyzowanie, a szczególnie słuchanie komendy z Warszawy zamiast własnego rozumu.

Mnie się zdaje, że dosyć już tego nieszczęścia,

a jeżeli p. Czarny Jegomość myśli, że jeszcze za mało, to szkoda czasu na polemikę, bo przecież niema bardziej nieuleczalnej głuchoty, niż taka, która polega na wstręcie do słuchu.

Nowa Reforma.

Czem jest „Nowa Reforma”? Wielu bardzo Litwinów, nawet z tych, co bywają w Krakowie, wcale o tem nie wie...

Gdy kupują jaką gazetę, jest to zawsze „Czas”; i ani domyślają się, że „Nowa Reforma” jest najpoczytniejszym, najpoważniejszym z organów Galicyjskiej Demokracji, aż do ostatnich czasów pod jawnym wpływem masoneryi żydowskiej stojącej.

O Litwie i o naszych oplakanych stosunkach mają jej Panowie Redaktorzy tyle pojęcia, co o Japonii, a może trochę mniej, bo rzadziej o tem piszą.

Otóż ci panowie z „Now. Reformy”, zresztą poczciwi sobie ludziska, wydrukowali o moim „Głosie Szlachcica” sążnisty artykuł pod tytułem „Znowu Targowica”, w którym ot, tak sobie, dla efektu, nazywają mnie zdrajcą, potworem, gorszym od Macocha, zbrodniarzem, sprzedawczykiem i t. d. Pod koniec ich elaboratu jest już nawet nauka o tem, jak „podmucha wielkiej idei demokratycznej” ma „korzenie zapuszczać” i gdzie. Są to plody osobnej logiki i wykształcenia galicyjskiego. Z tem niema co polemizować, bo przecież „co kraj, to obyczaj”.

Znając dobrze Galicyę, a nawet „Nową Reformę”, nie mogłem tego brać do serca, bo wiem doskonale, że poza kordonem austriackim podobne wyrazy mają zupełnie inne znaczenie, niż u nas. Zdrajca i potwór znaczą poprostu, że pan redaktor „Nowej Reformy” nie podziela mego zdania, a leni się wypowiedzieć swoje, nie tylko z braku czasu, ale głównie z zupełnego braku przekonujących argumentów, a więc udaje się do znanej metody „hajże na Soplęcę!”

Już w „Głosie Szlachcica” na stronie pierwszej

szpalty trzeciej u dołu powiedziałem, że „tak będzie i ze mną, jak było ze stańczykami, których później szanowano, jako mężów zasłużonych swojemu własnemu krajowi, pomimo tego, że przez długie lata, tak jak ja teraz, obdarzani oni bywali mianem „zdrajców i sprzedawczyków” i t. d.

Jednak jest wielka różnica między nimi a mną, a mianowicie: Stańczycy, szczerze służąc krajowi, nie zapominali jednak nigdy o sobie, zdobyli wpływy, stanowiska, tytuły i pieniądze, jako zupełnie słuszne wynagrodzenie za ich starania, a szczególnie za ich cywilną odwagę, podczas kiedy ja o nic nie proszę, nic nigdy nie dostanę, a będę siebie uważał za szczęśliwego, jeżeli uświadomię kilkudziesięciu lub może kilkuset współobywateli ze szlachty litewskiej, wskazując im jedyny sposób ocalenia resztek tego, co jeszcze u nas nie zniszczyła demokracja.

To też bardzo grzecznie odpowiedziałem tym Panom Redaktorom „Nowej Reformy”, że lepiejby było poczekać na obecną wiązanke moich odpowiedzi, a wymyślanie zostawić pismakom warszawskim, którzy uprawiają takowe, jako intratne rzemiosło.

Kuryer Poznański.

„Kuryer Poznański” jest na Litwie organem zupełnie nieznanym o zabarwieniu mocno demokratycznym i jeszcze wybitniejszą cechą, niż w „Nowej Reformie” zupełnej nieznajomości stosunków litewskich. Ma on znaczenie czysto miejscowe; to też obeszli się ze mną jego Redaktorowie nie mniej demokratycznie, aniżeli ich bracia krakowscy z „Nowej Reformy”, i poczęstowali mnie różnymi dziwnymi rzeczownikami i przymiotnikami, jak naprzykład: „zaśniedziałość umysłowości”, „zapleśniałe przesady stanowe”, „zdrada epigona Targowicy”, „patologiczne maniactwo” i t. d.

Głównym ustępem napaści „Kuryera Poznańskiego”, tym który nadał tytuł temu elaboratowi, jest dowodzenie, że właściwie przedstawiam typ przedpotopowe-

go zwierzęcia „Mamuta“, które tylko u nas na Litwie znaleźć jeszcze można.

Mając jednak gdzieś na dnie sumienia nieco powątpiewania co do mojej przedpotopowej zwierzęcości, „Kuryer Poznański“ pod koniec artykułu dodaje dość łaskawie słowa następujące: „Nie jest on może do tego stopnia świadomym zaprzańcem, czy nawet zdrajcą, jak raczej należy do kategorii „mamutów“, które podobnie, jak żubry w Puszczy Białowieskiej, zachowały się jeszcze na ziemi polskiej. Tylko, że żubry są nieszkodliwe, a nadto izolowane w pewnym okręgu, a mamuty chodzą swobodnie w całym społeczeństwie i gdzie mogą, traktują zdrowy posiew myśli polskiej“.

Tak piszą w Poznaniu panowie Demokraci. „Dlatego, o ile żubrom słuszną należy się ochrona, o tyle mamutów, jako szkodliwą zaporę zdrowego rozwoju i postępu, stanowczo trzeba zwalczać, gdzie tylko się pojawiają“.

Nie dopisali ci panowie, jako konsekwencyi, logicznie z tych słów wypływającej, że tego mamuta trzeba gdzieś z ukrycia zastrzelić; może dlatego, że kodeks karny pruski z takiego rodzaju radami nigdy nie żartuje, a może, kto wie, i z przyrodzonej dobroci. Woląłem trzymać się tej ostatniej hipotezy i, wzruszony do głębi serca tak szczytną wspaniałomyślnością autora w wymierzaniu kary, zasłużonej przez mamuta, postanowiłem ofiarować mu konia z rzędem (nie mamutowi, lecz autorowi) i napisałem mu, co następuje:

Gdyby autor chciał objechać choć raz jeden wzdłuż i wszerz ogromny obszar Litwy przedrozbiorowej i tam wśród z górą jedenastomilionowej ludności znalazł mi choć jedną jedyną wioseczkę, gdzieby właścianie mówili między sobą po polsku, lub choćby zgadali się na to, aby ich do rzędu Polaków zaliczono, to z miłą chęcią ofiarowałbym mu konia z rzędem. Lecz niestety, poza granicami dworów, folwarków, zaścianków szlachty zamożniejszej i wiosek zubożalej i rozrodzonej, też szlachty, — autor „Mamutów“ nie znalazłby na wsi ani jednego Polaka. Mówię wyraźnie ani jednego, wśród ludności jedenastomilionowej! Szlach-

ty zaś mniej lub więcej ubogie, osobnie żyjącej, znalazłby autor na cały ten kraj około sześćdziesięciu tysięcy.

A miasta? Jedno tylko Wilno, jedno z największych miast żydowskich w świecie, ma też nieco poważniejszą ilość mieszczan, uważających siebie za Polaków. Bardzo znaczny procent takowych stanowią dawni szlachcice, oderwani od ziemi. Ale już w Kownie, Grodnie, Mińsku, Witebsku i Mohylewie ta garstka mieszczan Polaków, co dawniej tam żyła, dziś zmarła pod naciskiem konkurencji żydowskiej. Silniejsi poszli szukać chleba do rdzennej Rosyi, gdzie żydów jest znacznie mniej; słabsi spadli do poziomu służby dworskiej, lub domowej, tak, że następująca po nas generacya wcale już ich w miastach widzieć nie będzie; rychło zginą oni do szczętu.

Widząc to na własne oczy, przekonałby się pan autor „Mamutów“ po takiej podróży, że u nas na Litwie są jeszcze gdzieś po wsiach i w Wilnie niedobitki polskie, „rari nantes in gurgite vasto“, ale takżeby zobaczył, że wogóle — stanowczo i bezpowrotnie — nastąpił już na Litwie Finis Poloniae.

Zachodzi więc teraz jedynie jedno pytanie, czy mogą jeszcze żyć dalej te niedobitki polskie, i jak mają żyć?

Podług mnie, Litwina, dobrze znającego swój kraj, jak to wypowiedziałem obszerniej w „Głosie Szlachcica“, żyć oni mogą tylko, jako element bezwarunkowo zachowawczy, niezachwianie stojący przy Osobie tego Monarchy, którego jej losy historyczne nadały, a więc jako element pożyteczny dla siebie, dla innych sąsiadujących obcoplemiennych elementów i dla samej Monarchii, która nad nimi wszystkimi panuje.

Jeżeli autor „Mamutów“ zna inny ratunek, to niechże to powie, byleby nigdy nie zapominał, że od czasu przyłączenia Litwy do Państwa Rosyjskiego przez trzykrotne poddawanie się namowom wichrzycieli i pseudo-patryotów z Królestwa Polskiego, szlachta polska na Litwie straciła milion z górą dziesięcin, t. j.

hektarów ziemi, które jej z rąk wyszły przez trzykrotne okresy konfiskat, straciła prawo cywilne, język, uniwersytet, sądy, samorząd, sejmiki, jednym słowem — wszystko — że więc nowa jawna czy skryta walka z Rządem Rosyjskim może nam przynieść tylko ostateczną zagładę. Wtenczas pan autor „Mamutów“ zrozumiałby, że ten, co broni interesów kastowych szlacheckich na Litwie, broni interesów jedynych Polaków, którzy tam mieszkają, a gdyby chciał być sprawiedliwym, toby ten Pan Autor może nawet przyznał, że nie ten zasługuje na miano „Mamuta“, który, najzupełniej nowoczesnie patrząc na stan obecny tego nieszczęśliwego kraju, wskazuje ginącej polskiej szlachcie jedyny sposób ratunku, lecz na miano „Mamutów“ zasługują te zacietrzewione zakordonowe jednostki, co, patrząc przez zaśniedziałe okulary Demokracji Narodowej, chcą dostrzedz w sto kilkadziesiąt lat po rozbiórce kraju to, czego i przedtem nie było i teraz już być nie może — narodu polskiego na Litwie, aby na tej urojonej przesłance opierać swe rozumowania dziwaczne.

„Widnokreği“, miesięcznik lwowski.

Poważny miesięcznik lwowski, „Widnokreği“, poświęcił mojej odezwie „Głos szlachcica“ treściwie napisany artykuł krytyczny, na który odpowiedzieć chcę i muszę.

Autor artykułu, który na samym wstępie znajduje, że p. p. dziennikarze w ogóle zbyt mało interesują się w innych dzielnicach dawnej Polski tem, co się dzieje na Litwie, sam grzeszy zupełną nieświadomością naszych tutejszych stosunków... Wyobraża sobie, że poza szlachtą zamożniejszą, mniej zamożną, a nawet zupełnie ubogą, tudzież poza nieliczną grupą mieszczan wileńskich — są na Litwie Polacy.

Cała obecna „Wiązanka odpowiedzi Szlachcica“ jest długiem, wyczerpującem wytykaniem tego błędu kardynalnego, który był głównym powodem naszej ruiny i zaprzepaszczenia wszystkiego, co my, Polacy,

dawniej tutaj mieliśmy, a dotąd moglibyśmy mieć, gdyby nie samobójcza polityka demokratyczna, narzucona nam z Królestwa Polskiego. Ci Panowie z nad Wisły dotąd pojąć nie mogli i nie mogą, że seciny tysięcy chłopów białoruskich, jako tako rozumiejących po polsku, ponieważ słuchają po kościołach kazań, wypowiedanych w tym języku, jednak nigdy Polakami nie byli, nie są i być nie chcą, a że paromilionowe chłopstwo litewskie o tem z sobą ani gadać nawet nie pozwala, ponieważ po polsku wcale nie rozumie, czyli, mówiąc ich gwara, nie supruntasują.

Wcale się też nie gniewam za ostrą krytykę Autora artykułu, który znajduje, że moje poglądy są wypowiedziane „cynicznie“ najprzód dlatego, że sam w polemice używam przymiotników jeszcze silniejszych dla charakteryzowania partii, do której Pan Autor należy, — a po drugie dlatego, że w obecnej wiązance rozwijam te same poglądy jeszcze wyraźniej, a więc jeszcze cyniczniej, aniżeli w krótkiej odezwie, którą z konieczności musiałem napisać i wydrukować w ciągu kilku dni pod tytułem „Głos Szlachcica“.

Jedno tylko zdanie autora mi się nie podoba, bo niesprawiedliwe, a mianowicie: zarzut bluźnierstwa przeciw Polsce.

Mnie się zdaje, że bluźni nie ten, który maski zdiera z oblicza komedyantów politycznych, pseudo-patryotów, tych, którzy gubią niedobitki polskie na Litwie dla własnego interesu, ale raczej bluźnią ci panowie, co chcieliby te niedobitki popchnąć w bezdenną przepaść dla zachowania tego, co „Goniec Wileński“ i inne organy Narodowej Demokracji — nazywają „Obliczem Narodowem“ — skarbem najdroższym.

Piszący jest tego zdania, że najprzód trzeba żyć, a potem filozofować — *primum vivere deinde philosophari* — a tamci chcą jedynie filozofować, a to, ażeby szlachta, jedyni na Litwie Polacy, żyła, uważają za wcale niepotrzebne.

Taka to jest cała między nami różnica i całe moje bluźnierstwo.

Bądźcie więc, Panowie, pewni, że powtórzę to blu-

źnierstwo, a za mną coraz więcej innych tak samo bluźnić będzie.

Kuryer Litewski.

Ten dziennik, na samym początku ery wolnościowej założony przez mego brata, byłego posła do Rady Państwa, jako organ zachowawczy, a tem samem lojalny względem Rządu Rosyjskiego, był pierwszym dziennikiem, drukowanym w Wilnie po polsku, po blisko półwiekowem wzbronieniu nie tylko pisać, ale i mówić w naszym języku.

Toż radość z powodu jego pojawienia się nie miała żadnych granic i zdawało się wtenczas, że w sferach ziemiańskich różnicy zdań co do jego kierunku nigdy nie będzie. Stało się jednak inaczej. Od tego tak niedawnego czasu „Kuryer“ przeszedł przez inne ręce do obecnych właścicieli, stanowiących współkę udziałową; lecz konserwatystą „Kuryer“ jednak, niestety, coraz mniej zostawał i po dzień dzisiejszy zostaje.

Lekki ten zwrot na lewo jest skutkiem nie tyle zmiany przekonań obecnych kierowników tego dziennika, ile chęci, a nawet konieczności, bardzo łatwo wytłómaczonej, zastosowania się do gustu szerszej publiczności, czytającej w naszym kraju, wśród której od lat pięciu do niedawna jeszcze ciągle rosły wpływy Narodowej Demokracji warszawskiej, jej agentów i przedstawicieli tutejszych, a szczególnie jej organu „Goniec“ (przymiotniki „Litewski“, „Wileński“ i „Codzienny“ zmieniają się w miarę różnych, tak zwanych „zakryć“; to jest niby zamknięć tego dziennika przez Komitet cenzury wileńskiej).

Otóż niezupelnie już konserwatywny „Kuryer Litewski“ w 24 godziny po ukazaniu się „Głosu Szlachcica“ wystąpił w Nr. 217 z ostrą, ale towarzysko grzeczną krytyką mego wezwania, na którą już w Nr. 219 odpowiedziałem krótko i rzeczowo w artykule, który niżej dosłownie przytaczam.

Ponieważ jednak „Kuryer Litewski“ jest jedynym

dziennikiem polskim, wychodzącym na Litwie, z którym mnie dyskutować trzeba koniecznie, dodaję tutaj do mego pierwotnego, niżej przedrukowanego sprostowania kilka uwag dla wyjaśnienia zasadniczej różnicy zdań między mną, niezależnym, niezłomnym szlachcicem, stojącym, jak to oni mówią, na gruncie ultrakonserwatywnym, ultra-lojalnym, bezwzględnie Monarchicznym, stanowczo szlacheckim, czyli kastowym, z jednej strony, a tymi panami z „Kuryera“, którzy są też konserwatystami, ale wyżej wspomnianym zasadom hołdują w stopniu znacznie mniejszym — nawet niekiedy, żadnym.

Główna różnica między zapatrywaniami mojemu a zdaniem bardzo zrównoważonego kierownika „Kuryera“, Pana W. B., jest, że Pan W. B. wierzy w cuda w dziedzinie socjologii. Ja zaś stanowczo w cuda tego rodzaju nie wierzę, nigdy przez swoje długie życie takich nie widziałem i śmiało twierdzą, że w tej dziedzinie cudów nikt nigdy i nigdzie nie zobaczy. Pan W. B. pisze dosłownie:

„Przyszłość swą nie na opiece policji i kozaków ufundować pragniemy, bowiem w wartość takiej opieki nie wierzymy, wierzymy za to w cuda, które czyni kultura moralna i ekonomiczny dobrobyt, jeśli wzrastają“.

Otóż tak nie jest: społeczeństwa i narody nie tylko nowożytnie, ale wszystkie na świecie społeczeństwa powstały, spoczywały, spoczywają i długie, długie wieki spoczywać jeszcze będą jedynie na sile, utrzymującej porządek. A czy tą siłą kieruje ręka jednego Monarchy, czy też ręce silnej arystokracji, to jest kwestya drugorzędnej wagi. Widzieliśmy, jak w dalekiej przeszłości powstało i rosło państwo Rzymskie, najpotężniejsze, jakie kiedykolwiek było w świecie, a którego powstanie i kultura (matka wszystkich kultur europejskiej i naszej), była dziełem nielicznej arystokracji patrycyuszów rzymskich. Widzieliśmy, jak to Państwo olbrzymów siły i ducha rozpadło się, gdy Cezaryzm zastąpił zwyrodniałą z czasem arystokrację, i, na odwrót, widzimy w czasach naszych, jak na ruinach roz-

kładających się w anarchizmie różnych Rzeczy Pospolitych Słowiańskich — Nowogrodzkiej, Pskowskiej, Polskiej — powstał Cezaryzm Wszechrosyjski, który opanował szóstą część kuli ziemskiej, w parę wieków urósł z „Moskowskaho Wielikokniażestwa — do Imperyum wszechświatowego, a zachwiał się, raczej zdawał się krótki czas zachwianym, dopiero wtedy, gdy pod wpływem niebywałej w swoich rozmiarach, a nieobliczalnej w swych skutkach klęski wojennej, władza monarsza nieco popuściła cugli i, ustępując krzykacztwu demokratycznemu, spróbowała swój autokratyzm zmitygować konstytucją zbyt szeroką, bo prawie zaraz wypadło ją raz po raz zwęzać i zmniejszać.

Lecz i tu i tam, i w Rzymie i w Moskwie, póki rosło i kwitło jedno i drugie państwo, władza żelazną ręką utrzymywała porządek, a nawet kastowość w obydwóch tych krajach.

Czy przed konsulem rzymskim szło dwudziestu czterech liktorów, niosących ostre topory i ciężkie różgi, któremi natychmiast smagano wichrzycieli przed ścięciem ich głów, czy przed Carem i jego przedstawicielami jada kozacy z pikami i nahajami, to jest najzupełniej wszystko jedno.

Zasada zostaje jedna i ta sama, wszelka cywilizacja, wszelka potęga państwowa oparta była i zawsze będzie tylko na porządku, to jest na sile, a Szanowny Pan W. B. idzie co wieczór spać spokojnie do łóżka, jedynie dlatego, że wie, iż nie zbudzą go w nocy ekspropriatorzy lub inne mniej czy więcej postępowe demokracje z tych, co to kwestują na cele narodowe z bombami w ręku. A dlaczego Pan W. B. śpi i pisze spokojnie? Ano, jedynie dlatego, że chodzą po mieście: ta policja i te kozaki, w wartość opieki których on nie wierzy. A mnie się zdaje, że, gdyby obroną jego spokoju i kasy redakcyjnej było tylko „gorące serce“, zalecane przez warszawskie Słowo, albo „Kultura moralna“, którą nam pan W. B. sam zapowiada, to może pan W. B. i dalejby wierzył w cuda, bo, jak mówią niekiedy teologowie nasi, „credo quia absurdum“ — ale z pewnością z wieczora zamykałby drzwi

swoje na dwa zamki i kładłby na stoliku nocnym dwa rewolwery — co najmniej. A więc nie trzeba w czasach obecnych ogadywać policji rosyjskiej i kozaków. Bez nich byłoby źle, bardzo źle.

Nie mniej niesłusznie pan W. B. mnie kilkakrotnie w swoim artykule zarzuca dążność do kastowości ogólnej w całym Państwie; tymczasem o ustrój ogólny Państwowy ja się wcale nie troszczę, bo na to są doświadczeńsi, silniejsi i młodszy ode mnie. To ich rzecz, a nie moja.

„Głos Szlachcica“ woła o pomoc tylko dla naszego kraju — wyłącznie dla tych kilku narodowościowo pstrych gubernii, co je Litwą, a czasem Białorusią zowią, a gdzie nasz naród szlachecki — malutki, już zwyrodniał, podupadający stale na duchu i mieniu, a w obłędzie swoim szukający ratunku na manowcach demokratycznych — ginie widocznie.

Tak jest, zginiemy z kretelem, zginiemy marnie, zginiemy rychło, jeżeli nie podamy sobie rąk, aby zwartą masą stanąć rezolutnie bezpowrotnie przy tronie Imperatora Wszechrosyjskiego, jako element zachowawczy, jeżeli wśród tej walki wszystkich ze wszystkimi nie pójdziemy zgodnie z tutejszymi przedstawicielami rządów imperatorskich do walki z demagogią Królestwa Polskiego, jeżeli nie wyleczymy się z tej moralnej zarazy, jeżeli pracować nie będziemy najprzód dla samych siebie, a dopiero później dla innych.

Wspomniałem wyżej o walce wszystkich ze wszystkimi. To jest w dwóch słowach streszczone opisanie tego naszego piekła litewskiego, gdzie na ogromnym obszarze sześciu gubernii, kilka milionów żydów walczy z Litwinami, walczy z Białorusinami, walczy z ziemianami, ażeby ich oszukać i wyzyskać, walczy z Rządem Rosyjskim, ażeby go też oszukać, wymagając równouprawnienia, które dla nich wnet stałoby się stanowiskiem uprzywilejowania — gdzie walczy kilka milionów tutejszych Białorusinów z ziemianami polskimi, ażeby zabrać im ziemię, pastwiska i lasy, które dotąd nie zostały jeszcze tym chłopom rozdane, a dotąd do szlachty należą. Gdzie

parę milionów Litwinów walczy o odrębność i utrwalenie zasad komunistycznych między chłopstwem gubernii Kowieńskiej, gdzie przeciętny ksiądz walczy z „popem-batiuszką“, ażeby mu parafian odebrać, a przeciętny „pop-batiuszka“ walczy z księdzem, ażeby go usunięto z parafii, gdzie cała kilkudziesięciotysięczna ledwo szlachta litewska walczy nieustannie z całym chłopstwem, ażeby obronić swe mienie od złodziejstwa i grabieży, a w niemałej części swojej walczy z Rządem Rosyjskim idyotycznie, jak mucha z niedźwiedziem, dla zaszczepienia polskośći nawet tam, gdzie za czasów Rzeczypospolitej takowej zupełnie nie było, gdzie narodowa demokracja srodze walczy ze zdrowym rozsądkiem i najpospolitszą logiką, ażeby w głowy oszołomionej przez prasę polskiej szlachty tutejszej wbić samobójcze zasady o konieczności poświęcenia siebie dla ludu, nie wiadomo jakiego, a głównie dla dobrobytu demagogów warszawskich lub ich tutejszych agentów, gdzie nakoniec sam Rząd walczy z „Bundem“ żydowskim, walczy z buntami chłopskimi, z propagandą księży, a szczególnie z tymi, co najgłośniej ze wszystkich krzyczą dlatego, że najmniej mają praw do tego, to jest z mniej zamożnym ziemiaństwem tutejszem, ciężko zarażonem przez narodową demokrację, z Królestwa Polskiego importowaną.

A wszystko to gada w imieniu niby to całego kraju, jak gdyby innych wcale tu nie było, wszystko stawia pretensje, których najwyższe sfery Rządu Rosyjskiego w obecnym stanie Państwa żadnym sposobem uwzględnić nie mogą, i zamiast zająć się cicho spokojnem polepszeniem własnego bytu, to jest własnej niedoli, zajmuje się polityką opozycyjną, co, rozumie się, tę niedolę tylko powiększyć może.

Wśród tego tragiczno-komicznego „struggle for life“, o którym Darwin nawet nie marzył, wśród tej wstrętnej, niepotrzebnej walki o byt, gdzie dzikie masy chłopskie chcą i wyobrażają sobie, że muszą zdobyć dla pożarcia słabszych i nielicznych ziemian polskich, rola szlachty na Litwie powinna pod grozą

śmierci na dłuższy czas redukować się jedynie do tego, ażeby, nikomu nie szkodzić, nikogo nie nawracając, z nikim się nie wiążąc, jedynie salwować swoją egzystencję własną, a już jeżeli koniecznie tego słowa chcecie, swoją kastę. Lecz nie zapominajcie, Panowie, że jeżeli ratunek jest jeszcze możebnym, to jedynie przy pomocy Rządu, jedynie przez zdobycie zaufania Rządu, jedynie przez absolutną lojalność względem niego.

Innej drogi, wiodącej do zbawienia z tej walki, gdzie my, szlachta, jesteśmy najsłabsi i najzacieklej zwalczani przez wszystkich, niema i być nie może. Opieranie się szlachty tutejszej na Rządzie Rosyjskim jest dla nas koniecznością żywiołową, a dla Monarchii protegowanie szlachciców bezwarunkowo lojalnych jest jednym z warunków jej bytu, bo zagłada i tu i tam szlachty na ziemi osiadłej znaczy, w dalszej lub bliższej przyszłości, upadek rządów monarchicznych na Litwie i w całym państwie Rosyjskim.

A kiedy po długich, długich latach, wtedy, gdy naszej popowstaniowej generacji już nie stanie, będzie może lepiej, kiedy nakoniec narody litewskie poznają się na obłudzie demagogii, importowanej z Warszawy, wrócą do zdrowego rozsądku i zechcą spokojnie żyć jeden obok drugiego, tak jak w Szwajcaryi żyją zgodnie trzy narody różne pochodzeniem, wiarą i językiem — wtenczas i dopiero wtenczas niech sobie przyszli filozofowie myślą o brataniu się z tym lub innym, o tem, ażeby „na własny koszt“ być czynnikiem dobra (dla chłopów), ażeby z „gorącym sercem“ biegać (za chłopami), ażeby godzić się (z chłopami) i tak dalej — będzie to filozofia, nawet bardzo może piękna filozofia, ale tymczasem dziś i jutro trzeba żyć, „primum vivere, deinde philosophari“, a my, szlachta, żyć chcemy.

Odpowiedź moja na artykuł „Kuryera Litewskiego“ była taką:

Jeszcze „Głos szlachcica” (List do Redakcyi).

Surowa krytyka, którą „Kuryer Litewski” powitał mój list otwarty, mnie nie zadziwia i nie martwi. Przecie drukowałem „Głos Szlachcica” nie na to, ażeby czyjekolwiek względy sobie zaskarbić, ale na to, ażeby wywołać dyskusję, o kwestyi dla nas żywotnej. Natomiast w krytyce „Kuryera” wielce mnie zadziwiło przypisywanie mnie zdań, które nigdy nie były mojemi, a nawet takich, przeciwko którym ja w swoim liście występuję stanowczo.

A mianowicie: Nigdy nie mówiłem, ani myślałem, ażeby wypadało robić różnicę między najuboższym szlachcicem na zagrodzie, a panem wielomilionowej fortuny, coś nakształt dawniejszego wojewody. Przeciwnie, uważałem i uważam całą „kastę”, czyli jak nasi praojcowie zawsze i wszędzie zupełnie słusznie mówili „naród szlachecki” za jedną arystokrację w znaczeniu starożytnem tego słowa, t. j. władzy lepszych. Chociaż od kilkudziesięciu lat ten naród szlachecki na Litwie i Białejrusi stale, choć po mału marniejże finansowo, moralnie, fizycznie i umysłowo, jest on i dzisiaj jeszcze pod każdym z tych czterech względów materialem ludzkim, cenniejszym od wszystkich innych wielomilionowych narodowości, wśród których żyje w tym kraju, a więc niezaprzeczoną arystokracją. Twierdziłem, że ta arystokracja liczy nie kilkaset tysięcy, jak „Kuryer Litewski” w pośpiechu napisał, a ledwo kilkadziesiąt tysięcy, ponieważ żadnym sposobem nie można policzyć do narodu szlacheckiego te kilkaset tysięcy włościan-katolików, którzy władają jeszcze mnie więcej językiem polskim, ale między sobą nie po polsku mówią, a Polakami stanowczo być nie chcą. Twierdziłem i twierdzę, że jeżeli ten malutki „naroddek” szlachecki wśród wielomilionowej masy innych plemion chce żyć i trwać dla pożytku swego i innych, to może tylko żyć i trwać pod niezbędnym warunkiem absolutnej lojalności względem Monarchii i zachowania wszystkich tradycyi dawnej szlachty, naturalnie tylko w najściślejszem kole własnem — bez żadnej propagandy.

Twierdziłem i twierdzę, że nawoływanie nietylko narodowej demokracji, ale nawet organów konserwatywnych, jakim jest „Kuryer Litewski”, do „pracy nad ludem”, do zespolenia się z ludem, prowadzi prosta droga i szybkim tempem do zguby tego — malutkiego szlacheckiego narodu, do którego my wszyscy należymy.

Dziś już nie podlega najmniejszemu wątpieniu, że rząd rosyjski, wsparty na wstrętnej wrzawie kanibalów prasowych, ale także na uświadomieniu calutkiej rosyjskiej inteligencji, jest nieubłagalnie zdecydowany nie ścierpieć w kraju Północno-Zachodnim ani gospodarki, ani propagandy polskiej, ani solidarności z rdzenną Polską tej naszej garstki szlacheckiej, tak nielicznej, a jednak pod pewnym względem tak cennej. Rząd może, a mnie się zdaje i będzie popierał tu szlachtę jedynie jako element konserwatywny, a inaczej nigdy. W przeciwnym razie, będzie ją tępił najprzód srodcze, lecz legalnie, później bezwzględnie, a nakoniec sposobami murawjewskimi, jak to coraz częściej żądają coraz liczniejsi obrusiciele. Wobec tej pewności wszystko inne idzie na drugi plan, bo to jest dla nas kwestya życia lub śmierci. Dlatego to i piszący te słowa i drudzy, którzy nie piszą, lecz myślą jak on, muszą uważać narodowych demokratów szczerych, a więc takich, którzy wierzą w to, co mówią, a nie są zamaskowanymi rewolucjonistami, za najniebezpieczniejszych wrogów polskości w naszym kraju.

Niemniej niezasłużonym jest zarzut „Kur. Lit.”, że mówię „o duchowieństwie w sposób, do którego ucho polskie nie przywykło”.

Stanowczo przeciw temu protestuję, gdyż o duchowieństwie wogóle i o litewskim w szczególności nic nie mówiłem, a tylko o działalności takich osobników, niestety, licznych z pośród naszego duchowieństwa, którzy zapominają, że są nietylko prawa Boskie i ludzkie, ale i prawa przyzwoitości kapłańskiej, których ignorować nie wolno.

Jeżeli rzeczywiście ucho polskie nawet po całym szeregu oburzających innych spraw — po Jasnej Górze, po sfalszowaniu testamentu ks. Ogińskiego i t. d.

— nie przywykło do krytyki pewnych księży, to chyba tego trzeba bardzo żałować, gdyż ucho Ojca Świętego, niestety, przywykło do tego oddawna.

Wiosną tego roku, podczas prywatnej audyencji, którą mnie Pius X zaszczylił, może najdłuższą, którą kiedykolwiek nie panującemu księciu, ale prostemu szlachcicowi udzielił, przekonałem się osobiście, że Arcypasterz rzymski doskonale jest poinformowany o dawniejszych i teraźniejszych mankamentach wielu księży z dyecezyi wiedeńskiej, że boleje nad tem, a spodziewa się radykalnej naprawy dopiero wtedy, gdy zostaną ustanowione prawidłowe, niczem nie krępowane stosunki między klerem tutejszym a głową Świętego Kościoła Katolickiego. Jeżeliby jaki ksiądz tutejszy o tem wątpił, to niech no tylko spróbuje z taką procesją, w takim otoczeniu i z takim wiankiem— jak nasze Wilno to widywało— wejść w które z podwórzy Watykanu. Ręczę, że po upływie mniej niż minuty dowiedziałby się od gwardyi papieskiej, kędy jest wyjście.

Tam bowiem z przyzwoitością żartów niema, a jeżeli w Watykanie w tym kierunku wymagania są bezwzględne, a skarcenie winowajców natychmiastowe, to dlaczegóżby nie miało być u nas choć po części tak samo?

Naprzód.

„Naprzód“, który jest i sam się tytułuje „Organem polskiej partji Socjalno-Demokratycznej“, poświęcił mi w numerze 243 (23 października, 1910 r.) długi artykuł pod tytułem „Głos Szlachcica“ — tej mojej odezwie oczywiście nie czytał w oryginale, a tylko parafrazuje napaść „Nowej Reformy“ z dnia 19 października. Najlepszym tego dowodem, że tak samo jak „Nowa Reforma“ nazywa mnie „Hr. Józef“, chociaż imię moje jest Ignacy-Karol i tak jest „Głos Szlachcica“ podpisany.

Napaść gazety „Naprzód“ jest o wiele przyzwoit-

szą, aniżeli takż w „Nowej Reformie“. Niema tu mowy o moim podług „Nowej Reformy“ braterstwie duchowem ze zbrodniarzem Macochem ani o mojej kwalifikacyi na zdrajcę, sprzedawczyka, potwora—niema też teoryi, wypowiedzianej na szpaltach „Nowej Reformy“, o zapuszczaniu korzeni przez podmuch demokratyczny. Wogóle, redakcyja Esdeków umysłowo znacznie więcej rozwinięta od Endeków z „Nowej Reformy“, używa mniej wykrzykników i łajania dla wyrażenia swego niezadowolenia.

I nic dziwnego. „Naprzód“ jest organem partji, która się polskością tylko o tyle zajmuje, o ile z konieczności musi, gdy zwraca się do ciemnych, nawpół jeszcze dzikich mas socyalistów polskich. Wychodzi w Krakowie, lecz za żydowskie pieniądze, pod kometądą łóż masońskich niemieckich.

Na czele stoi Pan Daszyński, czyli tak nazwany Towarzysz Daszyński, dobrze wychowany i bardzo utalentowany szlachcic, który robi karierę w socyalnej demokracji, a umysłowo stoi „turmhoch“ nad motlochtem, który go za wodza uznaje.

Towarzysz Daszyński był wtedy — gdy się o mnie „Naprzód“ odezwał — w Ameryce, entuzjastycznie witany przez żydów i socyalistów miejscowych. — A szkoda! bo gdyby był w Krakowie, to albo nicby swoim sztabowcom pisać nie pozwolił, albo zadowolili by się krótką wzmianką obiektywnie napisaną.

Wie bowiem Pan Daszyński, że, jeżeli w kajdanach, które dźwiga polski naród samobójców politycznych, jest łańcuch nieprzerwanych ogniwek, idących od Endeków, których trzeba leczyć, do Esdeków, poza którymi są już zwykli złodzieje i zbóje, których trzeba wieszać — to przecież musi być jako konsekwencya naturalna i drugi szlachcic, który się będzie starał o uzdrowienie swoich braci z innej dzielnicy.

O takowym może nawet socyalista mówić spokojnie, bez połajanek, które, wygłaszane z dołu do góry, nie dochodzą wyżyny pogardy łajanego, nie przekonywają nikogo, a robią tylko mnie niepożądaną reklamę.

Reklamy nie potrzebuję, gdyż piszę nie dla motłochu, a wyłącznie dla szlachty litewskiej. O nią jedynie dbam, a to, co mówią inni, to, aby wyrazić się dobitnie w języku dla Pana Daszyńskiego prawie ojczystym, jest mi — „ganz Wurst“.

Skończyłem odpowiadać na krytyki „Głosu Szlachcica“, które się w poważniejszej prasie ukazały, a teraz trzeba mi się zająć pojedynczym człowiekiem, którego wpływ i słowa więcej mnie obchodzą, niż to, co drukuje niejeden z dzienników polskich.

Pan Józef Montwiłł.

Pan Józef Montwiłł, którego znam i szanuję od z górą 40 lat, nie bawi się w dziennikarstwo. Za to bawią się z nim dziennikarze. Interwiewują go na dorożkach — przekręcają jego słowa — on temu zaprzecza w gazetach — ci zaprzeczają zaprzeczeniom. Wywiązuje się cała polemika — każdy dziennikarz chce widzieć pana Józefa po swojej stronie, a pan Józef chciałby ich wszystkich widzieć... u stu dyabłów, chociaż tego, jako skończony gentelman, jawnie nie mówi.

Koniec końców z tego polemicznego bigosu jeden tylko wypływa fakt niezaprzeczony, a mianowicie, że Pan Prezes Józef Montwiłł, poseł do Dumy obecnej, przyszedł do przekonania, że „albo my się pogodzimy z ludem, albo zginiemy“. Że „my“ to znaczy ziemiaństwo litewskie o polskiej kulturze — jest jasne, ale co ma znaczyć „lud“? — jest nader mgliste.

Ludu i ludów na Litwie jest wiele: element najruchliwszy — kilka milionów żydów — nie znajduje łaski u pana Montwiłła. Nie szczędzi on nawet wyrazów niezadowolenia z tego powodu, że szlachta w Mińsku przy wyborach weszła z nimi w układy. Kolega pana Montwiłła objaśnia, że to dopiero wtedy nastąpiło, gdy ów Lud przez duże L bardzo niedyplomatycznie za drzwi wyrzucił delegatów szlachty, pragnących się z nim układać. Mała bieda! z ludem po-

mimo wszystko!! Lecz tu zachodzi znowu kwestya i to ważna. Czy zgoda z Litwinami, bo przecie Montwiłłowie są szlachtą rdzennie litewską i do dziś dnia na Żmudzi osiadłą — zdaje się, że nie. Czy z tymi chamami białoruskimi, co delegatów szlacheckich za kark wyrzucają — zdaje się, że tak.

Cóż to za kasza pojęć obok tego polemicznego bigosu!!

Pan Prezes chce godzić się: — dobrze — ale jak? przecież żadnej walki między ziemianami a ludem, a raczej ludami, u nas na Litwie zamieszkałymi, nigdy nie było. A więc zalecana „zgoda“ ma tu znaczyć nie zwyczajną zgodę, ale raczej zaskarbienie sobie ła-ski tego czy tych ludów? Dobrze — ale czem? gdzie-indziej dowiodłem, że lud (t. j. włościanie) chce, aby mu oddano wszystko — „otdaj usio, da etoho mało“. Ależ i sam Rząd do bardzo niedawna też chciał zaskarbić sobie względy tego samego ludu i dlatego za czasów Murawiewa rozdawał mu nasze pola, nasze łąki, lasy i pastwiska. A więc zjawilaby się między ziemiaństwem a Rządem licytacya o chłopskie względy.

Pan Prezes Montwiłł, stojący na czele najpoważniejszej instytucji bankowej w tym kraju, kawał życia poświęcił licytacyom, a więc wie, że byłaby ona nie tylko nierówną, ale nawet wprost niemożliwą między, z jednej strony, nami ziemianami, którzy, co najwyżej, moglibyśmy oddać część, jeżeli nie chcemy zostać bez chleba żony i dzieci, a z drugiej strony Rządem, który jednym pociągnięciem pióra może łatwo nam odebrać, a oddać ludowi połowę, nawet więcej, niż połowę naszych majątków, jak to niezbitnie dowiódł przed kilku dniami wobec liczego zebrania ziemian mój brat, pan Hipolit hr. Korwin-Milewski, w swoim znakomitym referacie o skasowaniu serwitutów.

Czyż więc nie lepiej, Szanowny Panie, zamiast niemożliwej z ludem zgody, bo takowa musiałaby być poprzedzoną samobójstwem ziemiaństwa litewskiego, zamiast rozprawiania o mrzonkach, postarać się praktycznie o zgodę z Rządem Rosyjskim? Czy nie lepiej spojrzeć trzeźwo na położenie obecne, odrzucić te nale-

ciałości demagogiczne warszawskie i przyjąć raz na zawsze jako nienaruszalny aksyomat tę prawdę, że polepszenie bytu mas ludowych u nas może nastąpić tylko i wyłącznie za pomocą dobrego przykładu, dawanego przez osiadłą szlachtę, w każdym socyalnym kierunku, a nie przez jakieś idealne zgody, to jest, nazywając rzeczy po imieniu, rozdanie chłopom dobrowolne czy przymusowe szlacheckiej ziemi. Żadne polepszenie bytu włóścian być nie może przez wywłaszczenia i konfiskaty i żadne nie będzie. A więc, czyż nie dość tego marzycielstwa, czyż nie pora, nim będziemy myśleli o polepszeniu bytu „ludu“, polepszyć przedewszystkiem swój byt własny? Mnie się zdaje, że już nawet wielka pora nie w imieniu jakiegoś mitycznego „ludu“ bez żadnego właściwego mandatu stawiać się hardo Rządowi Rosyjskiemu, ale przeciwnie, pora nam w imieniu Rządu Rosyjskiego, jako jego ludzie zaufania, gdy takimi zostaniemy, przemawiać łaskawie, lecz stanowczo do tegoż ludu. Dotąd jest on przeważnie gałgański i ciemny, hultajski i złodziejowaty, a tem samem i biedny. A mógłby być pracowitym i porządnym, a tem samem zamożnym, gdyby zamiast kłaniać mu się demokratycznie i pochlebiać jego najgorszym instynktom, zechciano łagodną, lecz silną ręką ująć go w karby porządku i sprawiedliwości, co będzie tylko wtedy możebnem, kiedy Rząd Rosyjski tutejszej lojalnej szlachcie wierzyć będzie mógł bezwzględnie.

Ale na to trzeba byłoby przedewszystkiem dać wieczny pokój temu młodo zmarłemu poecie, którego jak twierdzi pisarz francuski, każdy człowiek myślący w sobie nosi, ale bez iluzji, bez tych zabójczych mrzonek o niemożebnem wprowadzeniu polskość na ziemi litewskie i ruskie, zając się wyłącznie uporządkowaniem tego naszego szarego prozaicznego życia, które u nas tak gwałtownie porządku potrzebuje. Jednem słowem — dać pokój innym, a zając się sobą.

Otóż nie tylko dlatego, że widzę z żalem, iż w sercu Pana Prezesa Montwiłła ten młody poeta nie tylko nie umarł, ale nawet nie zestarzał — ja, już stary Szlachcic niezłomny — wypowiadam tu krytykę pod jego

osobistym adresem. A czynię to szczególnie dlatego, że Pan Montwiłł, jako ekonomista, filantrop i działacz społeczny, nabrał w naszym kraju takiego autorytetu, że słowa jego są dla bardzo wielu ludzi, jeżeli nie wyrocznią, to w każdym razie wskazówką nieraz decydującą w ciężkich zagadnieniach naszego życia.

O to mi chodzi, ażeby ten autorytet pana Prezesa Montwiłła w innych dziedzinach — ekonomiki i filantropijnej socyologii niezaprzeczone — słowem, które on wypowiada już tylko, jako marzyciel, — stanowczo niezasłużonego tym razem znaczenia nie nadawał. — Mojem zdaniem, takie słowa pana Montwiłła prowadzą jego wielbicieli i stronników na niebezpieczne manowce, a to być nie powinno.

Z dylematu pana Montwiłła — „pogodzić się z ludem, albo zginąć“ — pierwsza część — zgoda — jest zagadkową i niepewną, za to druga — zginąć — jest groźną.

Jakim sposobem mamy tego niebezpieczeństwa uniknąć — o tem chciałbym na tem miejscu wypowiedzieć moje zdanie nieco obszerniej.

Nie program nakreślić, bo to pretensjonalne słowo z naszym nieszczęśliwym położeniem wcale nie licuje, lecz tylko podać listę tego, o co nam zapobiegać warto i trzeba.

Jeżeli żyć chcemy dalej na ziemi praojców z pożytkiem dla siebie, dla współobywateli innych ras, wyznań i stanów, a także dla Monarchii, do której zostaliśmy na wieki wieków wcieleni, trzeba nam ustanowić nasze desiderata w dziedzinie 1) samopoznania naszego stanowego, 2) naszych praw obywatelskich, 3) edukacji naszej młodzieży, 4) reformy naszego duchowieństwa — i 5) stanowiska naszego politycznego tak względem całego Państwa Rosyjskiego, jak i innych narodów, razem z nami na Litwie mieszkających.

Samopoznanie stanowe szlachty litewskiej.

Chcąc przeprowadzić stanowczą reformę w światopoglądzie szlachty naszej litewskiej, trzeba, aby ona przede wszystkim sama siebie poznała, szanowała i moralne przodowanie swoje przed innymi stanami zabezpieczyła bezwarunkowo, aby wyjść z położenia wprost upokarzającego, w które ją los, szczególnie zaś własna wina, postawiły. Uważam przeto za konieczne zastosować do niej, to jest do nas, historyczne aforizmy, wypowiedziane na początku wielkiej rewolucji francuskiej przez Sieyès'a, księdza kanonika i jednego z najgłośniejszych demagogów tej zakrwawionej epoki historii francuskiej.

Ten ksiądz kanonik Sieyès, który, jak wielu innych dostawców gilotyny z tych czasów, umarł hrabią (Comte de l'Empire) ojcem rodziny, senatorem i milionerem zupełnie podług dawnej recepty wszystkich w świecie demagogów, zawsze dążących na starość do czegoś podobnego, — miał za młodu dowcip ostry i cięte pióro.

Jego trzy pytania i tyleż odpowiedzi, które mu Herostatową sławę zapewniły, brzmią w bardzo wolnym polskim przekładzie (mówił bowiem Sieyès o francuskim mieszczaństwie, a ja, piszący, stosuję to do litewskiej szlachty), tak:

Czem jest w nielicznych szeregach różnej szlachty dziedzicznej na Litwie szlachta katolicka o polskiej kulturze? — Wszystkiem.

Czem jest ta szlachta w życiu politycznym tegoż kraju i w służbie państwowej? — Niczem.

Czem chciałaby być? — Czems odpowiedniem do jej kultury i niezaprzeczonej dotąd wyższości nad trzema głównymi ludami na tej samej ziemi, co ona, żyjącymi: Białorusinami, Litwinami i Żydami.

Otóż na to, ażeby powstać z nicości, do której tę naszą szlachtę doprowadziło ślepe posłuszeństwo demagogom nadwiślańskim, trzeba, ażeby przede wszystkim każdy z nas dobrze wiedział, sam nigdy nie zapominał i innym zapomnieć nie dał, że stanowi on

częsteczkę jednej z pierwszych szlacht w świecie, o krwi czystej, najczystszej, jaka może być, bo przecie u nas, na Litwie, wszystkie rody dawniej i obecnie książęce, również wszystkie rody magnackie, które za czasów Rzeczypospolitej krajem całym trzęsły, jak i rody drobniejszej szlachty, bez znaczenia historycznego, do której i piszący te słowa należy, wszystkie zachowały się całe od trzech — czterech i więcej wieków na tych samych ziemiach, trzymały się tych samych tradycji i zostały prawie bez wyjątku, bez domieszki krwi obcej, mieszczańskiej lub wogóle nie-szlacheckiej. Do tego dodać trzeba, że ta szlachta z krwi i kości od wielu wieków zrosła się z ziemią, na niej siedzi i wielki dotąd kawał takowej swoim własnym nazywa.

Jesteśmy więc drobniutkim, ale zupełnie odrębnym narodem o wybitnych cechach, specyficznie swoich, nawet mówiąc ogólnikowo, fizycznie, intelektualnie i moralnie jedni do drugich mniej więcej podobni. Takich jak my, to jest szlachty starodawnej w zwartych szeregach władających ziemią, daleko mniej w innych częściach dawnej Polski. Otóż każdemu z nas, szlachty litewskiej, nigdy do głowy przyjść nie powinno, ażeby który z nas miał się wyrzekać swojej przeszłości i tradycji dla przypodobania się jakimś z nad Wisły, przybłędom-demagogom. Nie powinien Litwin zostać zaprzańcem idei szlacheckiej litewskiej dla uniknięcia ich faryzeuszowskich zarzutów rzekomo zpleśniałej kastowości, przeciwnie, powinien być z tego dumnym.

Niemniej ważnem dla nas jest ciągle mieć w pamięci, że przecie nie zawsze szlachta litewska tak biernie, jak obecnie, przyjmowała rozkazy Komitetów Warszawskich i nie zawsze szła tak posłuszenie na pasku demagogów nadwiślańskich, tych, co to dla własnej korzyści nas do zguby prowadzą. Dawniej było inaczej. Warto sobie przypomnieć, jak długo szlachta litewska, praojcowie nasi, walczyli przeciw spolszczeniu, ażeby odrębności swojej od Królestwa Polskiego bronić; wobec bezczelności Demokratów obecnych,

trzeba nam nie zapominać, że stosunkowo bardzo niedawno spolszczeniu (dopiero 75 lat przed rozbiorem Polski) ulegliśmy ostatecznie, i jak okropne dla nas skutki miało to fatalne oddanie się pod komendę Polaków, które przeżyło rozpadnięcie Rzeczypospolitej i niestety, po dziś dzień stanowi najcięższą naszą chorobę — a mianowicie:

Gdy dziedziczy nasi Wielcy książęta Litewscy na obieralnym tronie polskim zasiedli, nieustającą ich troską było zjednoczenie się i zlanie dwóch tak różnych narodów, które ich berłu podlegały, Polski i Litwy z Rusią, a było to wtedy możebnem tylko przez polonizację Litwy i należących do niej krajów Ruskich. Wnet po wstąpieniu na tron zaczął tę robotę król Jagiełło — a potem potomkowie jego poszli za jego przykładem; była to stała tradycja rodowa, która nawet ród Jagielloński przeżyła, na jego spadkobierców przeszła i po dziś dzień u marzycieli pod nazwaniem idei Jagiellońskiej żyje.

Ale szlachta rdzenna litewska o tem ani słyszeć nie chciała, oburącz trzymała się swojej starodawnej kultury ruskiej, wymagała utrzymania swego języka, w aktach i sądach, to jest utrzymania tego ruskiego języka, co się dzisiaj jeszcze, jako liturgiczny, zachował i pisze się kirylicą. Z wprowadzeniem Świętej Wiary Katolickiej Rzymskiej, było jeszcze trudniej, bo do wschodniego ruskiego obrządku (prawosławia jeszcze wtedy nie było), należeli nie tylko wszyscy bez wyjątku kniaziowie, lecz i cała drobniejsza szlachta, na ziemiach ruskich osiadła, tak zwani „bojary“, późniejsza polska szlachta tutejsza; o narodzie ruskim czyli białoruskim tegoż obrządku nie było mowy, gdyż w tych czasach chłopów wszędzie za nic nie liczono.

Wielcy panowie litewscy i żmudzcy, to jest ci, którzy jeszcze wtedy, gdy chrzest święty przyjął król Jagiełło, wyznawali religię Perkuna, poszli z łatwością za przykładem swego władcy i przyjęli z chrztem świętym obrządek katolicki łaciński; była to jednak mniejszość nieznaczną. Wypadło powiększyć szeregi szlachty katolickiej — bo ruska trzymała się uporczy-

wie własnego obrządku. To też jeszcze przed Unią Horodelską (w r. 1413), a szczególnie po takowej król Jagiełło coraz więcej z Mazowsza sprowadzał szlachty rdzennie polskiej, przeważnie zaściankowej, rozdając im często w swoich olbrzymich włościach dziedzicznych tyle włók, ile mieli morgów na swoim rodzinnem Mazowszu. Za przykładem króla poszło parę wielkomagnackich rodów litewskich — tych, które były się stały wyznawcami katolicyzmu Rzymskiego, za przykładem samego Monarchy, jak: Gasztoldowie, którzy się pisali hrabiami na Murowanych Gieranonach, Radziwiłłowie, którzy po wyjściu z małżeństwa króla Zygmunta Augusta wdowy po Albrechtie Gasztoldzie, Barbary Radziwiłłówny, mianowani zostali księżętami na Medelach i Goniądzu, a także i inni.

Pomimo tego, polonizacja Litwy i podbitych przez nią krajów ruskich szła powoli i trudno z powodu obawy ze strony szlachty litewskiej, iż wnet za polonizacją pójdzie utrata ich odrębności państwowej.

Napróżno paręset rodów odwiecznej szlachty polskiej, a między innymi i ród piszącego około 1413 roku chętnie przeniosło się do nowego państwa, gdzie wnet pełnili różne urzędy i często dochodzili do znacznych fortun, pomagając królowi w zamierzonym polonizowaniu jego księstwa dziedzicznego. Było to jednak prawie zupełnie daremną robotą, gdyż większość szlachty nie chciała się wyrzec praw i języka ruskiego w sądzie, a nowi przybysze polscy z Mazowsza, widząc w tem jawne własne wygody, już w drugim pokoleniu przechodzili na stronę tuziemców i gardłowali za ustaleniem jaknajwiększej odrębności krajów litewskich od krajów koronnych. Immigracja szlachty polskiej szła dalej, ale polonizacja tak była powolną, że nawet po Unii Lubelskiej w 1569 r., gdy pierwszy raz drukiem ogłoszono stary Statut Litewski, to jest księgę, stanowiącą ośnowę prawa cywilnego i karnego w tym kraju, była ona drukowaną po rusku w Wilnie w roku 1588, w drukarni braci Mamoniczów. Toż jeszcze w roku 1576, a więc w całych 7 lat po Unii Lubelskiej szlachta powiatu Brasławskiego (teraz po-

wiat Nowoaleksandrowski w kowieńskiej gubernii), katolicka i w części z Mazowsza pochodząca, obraziła się tem, że z kancelaryi króla Batorego zaczęto pisać do niej po polsku i wysłała do króla „czelobitnuju prośbu... aby Waszaja Korolewszaja Miłość pry przywileju i swobodach naszych nas zachowati i do nas listy z kancelaryi Waszej Korolewszokj Miłości ruskim piśmom wydawati rozkazati raczył“. (Wileńskij Wremiennik, Gubernskaja typografia w Wilnie, 1909 roku, stronica 11 u dołu — oryginał w głównym Archiwum). Dopiero w sto kilkanaście lat później, mianowicie, gdy już wymarła dynastia Jagiellonów, a potężne zakony katolickie należycie przygotowały nastrój odpowiedni — udało się konstytucją sejmową z 1697 roku wprowadzenie języka polskiego do aktów i sądów na całym obszarze Litwy przedrozbiorowej razem z Białą Rusią.

Absolutne panowanie polskości trwało więc na Litwie wszystkiego lat 75, do roku 1772, to jest do pierwszego podziału Rzeczypospolitej.

Ale, jeżeli aż do ostatniej chwili, to jest aż do trzeciego rozbioru Polski szlachta litewska, nawet już nawskroś spolszczona, broniła zajadle i skutecznie swojej odrębności pod względem politycznym, prawnym i obyczajowym, to przyznać trzeba, że te 75 lat państwowości języka polskiego (1697—1772) nadało naszej szlachcie tutejszej niczem niezatarte piętno kultury polskiej.

Stało się to dzięki temu, że silne zakony Pijarów, Bazylianów, a szczególnie Jezuitów, wzięły w swe ręce edukację całej bez wyjątku młodzieży szlacheckiej zamożniejszej, a nawet i najuboższej, tak zwanych „pauprów“, których darmo uczono. Przez trzy, najdalej cztery generacye tak stanowczo zatarły się ślady dawnej kultury ruskiej, rozumie się, tylko w szeregach szlachty, że prawie już tylko pamięć po niej została. Wtedy to, jak głosi tradycya, niszczone po archiwach i klasztorach wszystko, co przeszłość ruską przypominało, zupełnie tak samo, jak za czasów Murawiewa zaczęto niszczyć wszystko, co było polskie, aby wy-

grzebać szczątki już wtedy zapomnianej rusczyzny. Za czasów Augustów Saskich tę nędzną robotę wypełniali Jezuici i inne mnichy, a od 1863 roku różne popowicze i popy. A więc aktorowie byli inni, lecz komedia została ta sama. Tak dziwnem kołem toczyły się losy naszej szlachty tutejszej.

Lecz nim demokracja polska doprowadziła nas do 1831 r., a później do 1863, to jest do ostatecznej ruiny, polonizacya, siłą rozpędu, na Litwie od 1697 r. przybierała coraz to większe rozmiary, stała się wprost wszechpotężną; a zbratanie się szlachty między sobą było tak absolutne, że nawet mało kto wiedział, czy jego prapraszczur był poganinem, czy ruskim, czy katolikiem rzymskim. Nawet po trzecim rozbiore Polski, gdy wstąpił na tron Imperator Aleksander I, nowy władca tego kraju, któremu nie bez prawdopodobieństwa przypisywano zamiar zjednoczenia pod swoim berłem całego obszaru dawniejszej Rzeczypospolitej, nie tylko, że nic przeciw dalszemu polonizowaniu Litwy nie począł, lecz nawet tak jawnie protegował Polaków, że były jego minister spraw zagranicznych, książę Adam Czartoryski, wszechpotężny w Wilnie, pod skromnym tytułem kuratora okręgu naukowego mógł tę robotę polonizacyjną, a razem wysoce kulturalną rozszerzać i rozwijać przez lat kilkanaście, jak się jemu rzewnie podobało. Imperator Aleksander I uniwersytet wileński przekształcił, nadał mu nowe przywileje i świetność, sam w Wilnie po polsku mówił i tak był lubiany, że przecie nie dla kogo innego, jak dla tego monarchy, były skomponowane dwie pieśni „Witaj królu polskiej ziemi“ i „Boże coś Polskę“, te same, które w pół wieku później poczytywano za rewolucyjne, a śpiewających takowe nahajami pędzono do cyrkułu.

Wogóle śmiało powiedzieć można, że Litwa nigdy tak polską w całej górnej warstwie swego społeczeństwa nie była, jak w pierwszych latach porozbiorowych, i że wtedy dopiero wśród głębokiego pokoju i niebywałego dobrobytu szlachta nasza ostatecznie spolszczyła się do szpiku kości, tak dalece, że nawet za-

pomniała o tem, że stosunkowo niedawno było zupełnie inaczej. Pytanie, jakieby były dziś skutki tego prądu, który tak potężnie oddziałał na tę całą górną warstwę narodu, jeżeliby ten prąd potrwał, rozumie się, należy do rzędu obliczeń hipotetycznych, któremi się zajmować nie warto. Natomiast jest faktem niezaprzeczalnym i niezaprzeczonym, że wszystką tę robotę polonizacyjną naszych Wielkich Książąt Litewskich i Polskich Królów zniszczyła demokracja polska i tylko ona. A mianowicie: loże masońskie, które wtedy z Warszawy przeniosły swoją działalność na Litwę, a obok nich tajne i nawpół tajne towarzystwa: filomaci, filareci, bractwo zwane „Szubrawcy“ i inne przygotowywały i przeprowadziły idiotyczne, a raczej zbrodnicze u nas powstanie 1831, a później 1863 r., które całą przeszłość pokryły całunem, a przyszłość zawiązały nam na zawsze.

W „Głosie Szlachcica“ opisałem, jakie dla nas, Litwinów, niczem niepowetowane klęski wywołało ślepe posłuszeństwo względem tajnych czy nietajnych komitetów warszawskich, które nas przyprowadziły do ruiny. Tutaj powtarzać nie będę.

A wypowiedziałem wszystko, co wyżej, tylko dlatego, ażeby raz jeszcze przypomnieć, że my, szlachta litewska, z polskością stanowczo szczęścia nie mamy i że pora, wielka pora nie dać się więcej targać na prawo i na lewo z jednej narodowości do drugiej, z jednej religii do innej, z kultury do kultury i raz na zawsze w samopoznaniu naszej wartości etycznej nakoniec spocząć na łonie wielkiej wspólnej Ojczyzny Rosyjskiej — jako najcenniejszy element zachowawczy, który w jej niezmierzonych granicach kiedykolwiek egzystował i po dziś egzystuje. Bo cóż może być bardziej zachowawczego, jak szlachcic litewski katolik, o polskiej kulturze?

Przechodząc z ustanowienia przesłanek i zasad do życia praktycznego, uważałbym za najpożyteczniejsze dla nas rozwijanie i dalsze tworzenie tak zwanych związków rodowych.

Takich jest na Litwie jeszcze za mało od czasu,

gdy temu lat kilkanaście ruch ten zapoczątkowali siostrzanowie piszącego, Panowie Meysztowiczowie herbu Rawicz. Dziś już takich związków rodowych na Litwie i Rusi jest kilkadziesiąt, zdaje mi się, że datą ostatni, który został zatwierdzony, jest związek tego rodu, który właściwie powinien byłby innym przykładem w tym względzie dawać, mianowicie: Książąt Radziwiłłów z Nieświeża. Ruch ten zdrowy i pożyteczny niezawodnie będzie się rozwijał i prawdopodobnie znajdzie właściwą opiekę ze strony Rządu Rosyjskiego, dziś już stanowczo popierającego zasady zachowawcze. Opieka Rządu ma być zresztą zupełnie platoniczna, gdyż stowarzyszające się, od jednego protoplasty pochodzące rody, od Rządu Rosyjskiego nie proszą materialnej pomocy, jeno tylko zatwierdzenia i ulegalizowania familijnego statutu.

A ze swojej strony, generał-gubernatorowie i prowincjonalne rządy gubernialne, którym nadzór nad stowarzyszeniami jest powierzony, żadnych trudności nie powinny stawiać rodom stowarzyszonym, póki takowe będą odpowiadały swojemu celowi. Cel zaś na tem polega, ażeby członkom, tego potrzebującym, udzielać pomocy moralnej wszelkimi prawnymi środkami, a materialnej z odsetek większego lub mniejszego kapitału, na ten cel przez wszystkich złożonego.

Takie związki rodowe mogłyby, jeżeli się należy rozwinią, a przez dary swoich członków i legaty z czasem się z bogacą, czyli, jak się to mówi, urosną w pierze, i powinny byłyby mieć wysoko kulturalny i wysoko umoralniający wpływ na samopoznanie szlachty litewskiej. Czując nad sobą opiekę braterską, ale też i kontrolę swoich kuzynów, każdy taki młody szlachcic będzie szedł poważniej i oględniej przez życie; powiększy się liczba osobników pożytecznych, a zmniejszy się szereg stanowczo wstrętnej panicyków naszych, co po szantanach i karciniach zdrowie i życie marnują. Takiej zmiany na lepsze, takiego postępu w naszej wielkiej rodzinie szlacheckiej na Litwie oddawna my wszyscy starsi i stateczniejsi pragniemy.

Niewiele mniej pożyteczne byłoby stworzenie w miastach gubernialnych, a szczególnie w Wilnie, jako stolicy Litwy, pałaców rycerskich, w rodzaju ritterhauzów szlachty niemieckiej, lecz tym razem już przeznaczonych dla całej szlachty danego kraju i gubernii bez żadnego wyjątku narodowości, religii lub pochodzenia. Te pałace, dla których stworzenia lub adaptacji Rząd powinien byłby udzielić znacznej, nawet bardzo znacznej zapomogi, czy to w postaci daru jednorazowego, czy prawdopodobniej w postaci niskoprocentowej a długoterminowej pożyczki, — byłyby ogniskiem szlachty w szerszym znaczeniu tego słowa.

Zawierałyby w sobie apartamenty marszałka, wielkie sale recepcyjne dla zebrań walnych, kancelaryę, archiwum, różne biura pomocnicze, a także, o ileby to można było, w osobnym skrzydle tego samego gmachu rodzaj klubu szlacheckiego, skąd wszelkie gry karciane, nawet tak zwane towarzyskie, byłyby stanowczo wyłączone. Wpływ takiej instytucji, któraby stanowiła środowisko i łącznik całej szlachty, byłby ogromny. Trudno nawet określić z góry, jakieby przybrał rozmiary, ale w każdym razie jest rzeczą pewną, że byłyby stanowczo zbawiennym dla nas i dla Państwa — a dla ustalenia samopoznania naszego szlacheckiego — decydującym.

Trzecim postulatem bardzo wielkiej wagi dla całej szlachty litewskiej, bez różnicy wyznań — byłoby pomnożenie, o ile to się okaże możebnem, liczby majoratów większych, często należących do rzędu latifundyów ogromnych, bo takich jest dopiero dziesiątek na Litwie, a egzystują one na tak zwanych prawach polskich, to jest dziedzictw wyłącznie po mieczu; dalej trzebaby było zająć się uporządkowaniem silnie zaniedbanych pod względem prawnym majoratów na tak zwanych prawach lennych, stanowiących przeważnie średnią i małą własność, gdyż obok paru lenności, liczących po tysiąc włók obszaru, są seciny, co liczą po włók tylko kilkanaście, a nawet i mniej. Wszystkie wielkie i małe lenności zostały przez zasadniczy ukaz senacki, zapadły przy rozstrzygnięciu sporu familij-

nego hr. Kossakowskich, zrównane pod względem praw i obowiązków z majoratami prawdziwymi, wyżej wspomnianymi. Przedewszystkiem jednak trzeba by było dla szlachty tutejszej, przy odpowiednim uzupełnieniu praw, obecnie obowiązujących dla majoratów, otrzymać pozwolenie na stworzenie licznych, jak najliczniejszych dóbr majorackich rodzinnych, na wzór niemieckich familiengüter, a więc przeważnie średnich i nawet małych dóbr o bycie i granicach ustalonych, byleby ich obszar i przypuszczalna dochodowość były dostateczne dla zabezpieczenia skromnego bytu jednej całej rodzinie i należytego wychowania jej dzieci.

Odpowiednie instytucje, ich ogólna kontrola, biuro czuwającego nad prawidłowością ich działania, biuro dla rodowodów rodziny szlacheckich, opieka nad drobną szlachtą zaściankową i jeszcze drobniejszą zagrodową — koncentrowałby się w pałacu gubernialnym dla szlachty, o którym wyżej była mowa. To wymagałoby nie tylko obszernych lokalów, licznych urzędników, lecz i wielkiej sumiennej pracy ze strony głównych przedstawicieli szlachty, to jest jej marszałków powiatowych, a w szczególności gubernialnych. Ci panowie, na których ległaby tak wielka odpowiedzialność, byłiby wybieralni, ale tylko do pewnego stopnia, przy zachowaniu odpowiednich niezbędnych gwarancji. Z początku powinni byłiby być wprost mianowani przez Monarchę dlatego, aby marszałkiem gubernialnym był przez trzy lata na przemian Pan tutejszy Rosyanin i Pan z rządów szlachty polskiej tu osiadłej, aż póki nie nastąpiłoby takie zrównanie usposobienia i przekonań, że byłoby to dla władzy monarszej zupełnie obojętnem, kto tę posadę zajmuje — katolik czy prawosławny — byleby Pan sprawiedliwy.

Jednem słowem, niełatwo byłoby uporządkować i dopełnić, co jest, dodać to, czego w naszym życiu szlacheckiem brak, ażeby szlachcie litewskiej, jedyne-
mu, powtarzam z naciskiem, absolutnie jedyne-
mu elementowi zachowawczemu w tym kraju, jedyne-
mu, na

którym Monarchia Rosyjska we własnym swoim interesie może opierać się bezwarunkowo, nadać tę powagę i to znaczenie, które się jej należą.

Tylko ten mały szlachecki narodek, ten poczet paru tysięcy rodów starych na ziemi osiadłych, który przez tyle wieków służył wiernie swoim Wielkim Książętom do i po Unii, dzisiaj może służyć tak samo bezwarunkowo wiernie obecnym swoim Wielkim Książętom — Imperatorom Wszechrosyi. Tylko taka szlachta może nazawsze stanowić niezachwianą podporę Monarchii w kraju, gdzie tak liczne inne elementy marzą o jej obaleniu, a skrycie lub nawet jawnie, nad tem pracują.

Bardzo znanem jest przysłowie, które mówi, że są dwie rzeczy, których sam Pan Bóg stworzyć nie może odrazu, to jest starego dębu i starego rodu, bo na to potrzebne są wieki, a my, prawie cała szlachta litewska mamy je za sobą.

Właśnie dlatego „Głos Szlachcica“ do Was, bracia szlachta, woła: „sursum corda“. Wstawajcie z mężnem sercem! Daliśmy się strącić przez demagogię polską do roli helotów na własnej ziemi, zbito nas i leżymy — to nasza wina, bardzo wielka wina, lecz nie powinniśmy w tem poniżeniu zostawać! Wstawajmy, bo ziemia jest jeszcze przeważnie naszą. Inne stanowisko nam się należy i będzie nam przyznane, skoro tylko, wzięwszy się za ręce z rdzenną szlachtą ruską, będziemy dalej tem, czem byliśmy i czem nam być trzeba, to jest, szlachtą sprawiedliwą, murem około tronu stojącą.

A wtedy wszystkim demagogom, żydziakom, narodowym i nie-narodowym demokratom, w których szeregach z bólem wielu naszych zbałamuconych braci widzimy, tym, którzy wszyscy na naszą przyszłość i na to, co z przeszłości zostało, nakładają ręce — powtórzmy słowa szlachcica Gladston'a: „Hands off“ — to znaczy po polsku — precz z łapami.

Prawa obywatelskie.

Jak tylko szlachta tutejsza, przejęta świadomością tego, czem jest (a to musi rychło nastąpić), zechce się zastanowić nad tem, czem ona być powinna w tym kraju, trzeba będzie przede wszystkim starać się o zrównanie jej praw i przywilejów, dziś już zapomnianych, z takiemiż, których w całej pełni używa szlachta rdzennie rosyjska na Litwie. Mówię tu o zrównaniu szczerem i obopólnem tak ze strony rządu, jak i ze strony obu szlacht—tej, tak zwanej, pochodzenia polskiego z tą, tak zwaną, pochodzenia rosyjskiego, chociaż w szeregach jednej i drugiej są nader liczne rody, do tej i owej klasyfikacyi się nie nadające. Tu bowiem rozstrzyga wcale nie brzmienie nazwiska, niezupełnie nawet religia ta lub inna, lecz bezwarunkowo i jedynie tylko kultura polska z jednej strony, a rosyjska lub niemiecka z drugiej.

Powtarzam, że to zrównanie powinno być przede wszystkim szczerem, bo przecież prawnie, ale tylko na papierze, ono egzystuje w znacznej części i teraz, a pomimo to, równości niema. Żadne prawo nie wzbrania nominacyi katolików, a jednak wszystkie posady, jakiegokolwiek znaczenie mające w administracyi, w sądownictwie i w wojsku, są dla nas, katolickiej szlachty litewskiej, zupełnie albo prawie zupełnie niedostępne. A jednak w interesie Państwa musiałoby być przeciwnie, gdyż nie tylko litera prawa, ale i zdrowy rozsądek polityczny nakazuje, aby marszałek szlachty, ziemski naczelnik, powiatowy sprawnik w powiecie i przystaw w uczątku, byli przeważnie ze szlachty miejscowej wzięci. A teraz niema między nimi tak dobrze jak żadnego ziemianina litewskiego, gdyż wyjątki możnaby było na palcach policzyć.

Interes dobrze zrozumiany Państwa, a nawet prostej sprawiedliwości wymagałby też, aby sądownictwo i prokuratura liczyły w swem gronie niemało przedstawicieli szlachty tutejszej, znającej doskonale stosunki miejscowe i warunki życia, czasami dla przyszłych niezrozumiałe, a takich przedstawicieli naszych

dziś wcale niema, chociaż do 1860 roku byli. A dla czegoż teraz jest inaczej, nawet wbrew przeciwnie? — Dlatego, że część szlachty naszej litewskiej, jest ciężko zarażona polską demokracją narodową, powtóre, że często idą bracia nasi szlachta, na pasku ideologów, niekiedy oszustów politycznych z nad Wisły, wierzą w puste słowa gorącego serca dla ludu, w bratanie się z ludem, a nie wierzą w to, co jest w Rosyi dla nas najżyźniejszego, może jedynie dobrego dla nas, to jest, w bezstronność Rządu Rosyjskiego niezawodną w jego sferach najwyższych, jeżeli tylko nie tykać Osoby Monarszej i państwowości Rosyjskiej.

Czy jest choćby jeden człowiek przytomny (nie mówię tu o Endekach, bo ci są nieuleczalnie zarażeni iście polską manią samobójstwa politycznego), któryby wątpił o tem, że, gdyby ci zbałamuceni szlachcice litewscy tylko część wysiłków, których używają z „gorącym sercem“ dla nauczania i polonizacji chłopów przeważnie takich, którzy im w nos z ich głupoty się śmieją, użyli dla zrozumienia położenia swego w Państwie Rosyjskiem, to już dawno mieliby wszystkie prawa obywatelskie. Nie potrzebowałiby wtedy lamentować, że secinami wydalają z najniższych, ledwo chleb suchy dających posad w państwowej służbie i na kolejach synów szlacheckich za to, że objawiają sympatye swoje do endeków, do pepeesów, nawet fraków i jak się tam nazywają te partyzanty nadwiślańskie, których miejsce właściwe byłoby w domu obłąkanych, o ile są oni szlachtą litewską, a więc dobrowolną ofiarą, a nie polskimi demagogami, to jest świadomymi wyzyskiwaczami. Ale niestety, takie oprzytomnienie nieprędko nastąpi i niełatwo.

Nic niema bowiem trudniejszego, jak otrzymać od naszego brata szlachcica, zarażonego ostrą formą demokracji narodowej lub innej, ażeby myślą przeniósł się w duszę prawdziwego męża stanu lub nawet poprostu w duszę rozumnego patrioty rosyjskiego: a takich jest dużo, a znać ich trzeba, bo w obłokach żyć nie można, jeno na ziemi. Zobaczyłby wnet najwięcej obalamucony szlachcic, że przy najlepszej woli

dla różnych osobników z pomiędzy nas, a nawet dla całego naszego narodu, żaden prawdziwy Rosyanin nie może mieć na Litwę i Białoruś, a cóż dopiero na ruski kraj południowo-zachodni, Wołyń, Podole i Ukrainę, tych poglądów, które Demokracja Polska wbiła w głowę wielu naszym marzycielom, jeszcze więcej takim, którzy nigdy nie marzą, bo nigdy nie myślą, a powtarzają pacierz za panią matką. Mówię o tak zwanej idei Jagiellońskiej. Połączenie w jedno państwo niewielkiego narodu polskiego z jeszcze mniejszym litewskim, który jednak dzielnością swoich wodzów był wtedy świeżo podbił ogromne kraje ruskie, mogłoby przynieść zbawienne skutki, jako unia trzech narodów w jednej Rzeczypospolitej szczęśliwej i wolnej,—mogłoby, ale — gdyby potrwało, a nie rozpadło się właśnie w owej chwili, kiedy Rosya, oswobodzona z niewoli mongolskiej, nareszcie zjednoczona i w jednym silnym ręku samowładcy, Cara Piotra Wielkiego ujęta, stała się państwem militarnem pierwszorzędem.

Ale skoro to państwo silne rozgospodarzyło się w bezsilnej Rzeczypospolitej polskiej bez porządku i bez wojska, cały ten sztuczny gmach runął na zawsze.

A gdy z naszej winy kraje te stały się już własnością Imperyum Rosyjskiego i półtora wieku od czasu upadku przeszło, to już nigdy marzyć nam nie wolno o tem, ażeby to, co my krajem zabranym zowiemy, a Rosyanie jako kraj napowrót odebrany, kość z kości i krew ze swej krwi własnej uważają, mogło być dla prawdziwego Rosyanina przedmiotem ustępstw lub nawet targu. Prędzej wszystkiego się dopuszczą, aniżeli dozwolili na polonizację i katolizację tych krajów na korzyść rasy polskiej, im wroziej od blisko tysiąca lat. W duszy każdego Rosyanina, zupełnie świadomie w sferach wyższych, a nieświadomie w najniższych, tkwi przekonanie niezłomne, że są trzy rzeczy na tym świecie dla nich nietykalne i święte, a takimi są: Prawosławie, Osoba Cesarza i całość cesarstwa, za które warto i trzeba w ogień pójść i życie dać.

Jakżeż wam, Demokratom narodowym o ciasnych mózgach, o bezgranicznym nieuctwie, zwyciężonym, bezsilnym, nawet marzyć można o tem, ażeby Państwo Rosyjskie traktowało na równi ze swoimi prawowitymi synami tych z pomiędzy was, którzy w swoim zaślepieniu, pod komendą waszych warszawskich szaleńców zwalczają prawosławie, nie szanują praw monarszych i słabą, wycieńczoną rękę podejmują na całość państwa. Jest to poprostu obłąkanie; i prawdziwy Rosyanin, któryby nie widział w tych naszych demokracatach wrogów, choćby śmiesznych i bezsilnych, ale nieprzejednanych, nie tylko, że nie byłby patriotą ruskim, ale nie byłby poprostu człowiekiem.

A więc pierwszym i niezbędnym warunkiem dla szlachty litewskiej, ażeby osiągnąć zupełnie równe prawa ze szlachtą rosyjską, jest należycie przekonać ją, że zniknęły w naszym szlacheckim narodku na Litwie mrzonki o Jagiellonizmie i o solidarności z Królestwem Polskiem tak zupełnie, tak absolutnie, jak zniknęła wiara w astrologię lub w alchemiczne sposoby robienia złota, w które jednak cała ludzkość przez całe tysiąc lat ślepo wierzyła.

Podług najgłębszego przekonania Rosyan prawdziwych możemy, szlachta litewska, nie należeć do prawosławia, byleby nie urągać mu (jak to wielu naszych księży bezsensownie czyni), i pomimo to nie tylko na papierze, ale w rzeczywistości być równouprawnionymi obywatelami Państwa Rosyjskiego. Możemy między sobą mówić po polsku, jak to czynią każdy w swoim języku, Niemcy, Gruzini i inni, których równouprawnienie ze szlachtą rosyjską jest zupełne. Ale nie możemy nie przejąć się absolutną wiarą prawdziwych Rosyan w Cezaryzm i nietykalność Państwa Rosyjskiego, jeżeli nie chcemy na zawsze w tem Państwie być helotami bez praw, to jest być obywatelami trzeciego czy czwartego rzędu wtedy, kiedy się nam miejsce odpowiednie w pierwszym należy.

Dziś pierwszy lepszy przybłęda Czuwasz czy Wo-
tiag, który skończył uniwersytet, jest i ma być peł-

noprawnym obywatelem naszej ziemi, a my, odwieczna szlachta tutejsza, mamy podlegać ograniczeniu! Tak dalej być nie powinno. A jeżeli tylko będziemy mieli odrobinę zdrowego rozsądku i poczucie tego, czem jest Państwo Rosyjskie i czem my w tem Państwie być powinniśmy, tego niezadługo nie będzie. Ale to, co jest potrzebnem, — musimy wnet uczynić bezwarunkowo, bo jest to dylemat: albo stanąć przy tronie Najjaśniejszego Pana, albo w szeregach demokracji polskiej — być albo nie być. Innej alternatywy niema.

Jednak nie dość, ażebyśmy się temi zasadami prędzej czy później przejęli szczerze i bezwarunkowo i chcieli razem ze szlachtą ruską stanąć murem u stóp tronu Wszechrosyjskiego, trzeba, aby Monarcha w to uwierzył, a za nim sfery rządowe państwowe.

Do tego niezbędnym mi się wydaje jakiś akt solenny, nieodwołalny, wyrażający te uczucia nasze w formie niedwuznacznej, a możebnie uroczystej. Byłby taki akt drogowskazem i dla dalszych pokoleń i zbawiłby nasz kraj na zawsze od tej niefortunnej unii z Polską, co nas tyle ofiar, tyle krwi i mienia kosztowała, a nic oprócz upokorzeń i ruiny nie dała. Idea Jagiellońska była pięknym snem wtedy, gdy nie było jeszcze ani Austrii, ani Prus, ani nawet Monarchii Rosyjskiej. Za to przebudzenie jest okropne, bo, marząc we śnie o panowaniu, ocknęliśmy się niewolnikami. A więc dość marzeń! trzeba się zająć rzeczywistością i dalej iść trzeźwo przez szare życie. „Hinaus ins feindliche Leben!“ — Pójdziemy, ale chcemy iść z czołem podjętem ze szczerością, z tą cywilną odwagą, która przystoi każdemu prawdziwemu szlachcicowi, a więc i całej szlachcie litewskiej.

Formę tego uroczystego aktu niech obmyślą inni. Piszący tylko myśl podaje, zgóry zaznaczając, że nie trzeba sobie przy tem tworzyć zbyt wielkich nadziei.

I po takim akcie najbliższa przyszłość nasza nie będzie nawskroś różową. Nie trzeba sobie wyobrażać, aby wnet po uroczystem oddzieleniu się od demagogów nadwiślańskich już zaraz mianowano z pomiędzy nas gubernatorów i prezesów izby sądowej. Tak było

na początku przeszłego wieku za czasów Cesarza Aleksandra I. Teraz już tak nie będzie.

Nie — tak nie będzie; najprzód dlatego, że niema pomiędzy nami osób, do wyższych stanowisk hierarchii służbowej przygotowanych i wykwalifikowanych, powtóre dlatego, że żaden przewrót, a cóż dopiero tak zasadniczy, nie jest możebnym odrazu.

Odrazu będzie prawdopodobnie tylko jedno, a mianowicie, że tym ziemianom, do których Rząd będzie miał szczególne zaufanie, nada on z pewną ostrożnością osobiste prawo szlachty rdzennej rosyjskiej na Litwie (wsie prawa i preimuszczestwa ruskoho dworiaństwa w Siewiero-Zapadnom kraje). Takie prawa naprzykład mieli do niedawna ś. p. książęta Ogińscy. Tem samem Rząd otworzy szeroko dla wielu z nas podwoje do karyery, po której kroczy dotąd tylko szlachta rdzennie rosyjska.

Ilu z nas i w jakiej mierze z tego skorzysta, to od naszego uzdolnienia i talentów zależeć będzie. Później prawdopodobnie Rząd zacznie dawać te prawa częścię i w miarę, jak się przekona, że jest komu je dawać. Najprawdopodobniej jednak skorzystają w pełni z tego prawa dopiero nasi synowie. Bardzo jest możliwem, że skoro niezbędny i nieunikniony rozbrat z Królestwem nastąpi z naszej strony szczerze, zamianują wielu marszałków i niemało naczelników ziemskich, ze szlachty tutejszej pochodzących, i że wogóle Rząd będzie poszukiwać pomiędzy nami znaczną część tych urzędników, u których gruntowna znajomość stosunków miejscowych jest wymagana, a więc sprawników, sędziów śledczych, towarzyszy prokuratorów i t. d. Może też się powiększy ilość dygnitarzy dworu Cesarzkiego, z pomiędzy szlachty tutejszej wziętych, a ciąga obecność kilku czy kilkunastu z nas w tych sferach ma dla całej szlachty znaczenie, którego lekceważyć nie wolno.

Ale najważniejszym, wprost nieocenionym postępem dla nas, szlachty, byłoby to, że we własnym kraju odrazu przestalibyśmy być helotami, a posiadając też zaufanie Cesarzkie, moglibyśmy rezolutnie stanąć

wspólnie z jego Rządem do walki z rewolucją i demagogią, nasyłaną nam tak z Warszawy, jak i z Moskwy, a propagowaną u nas przez rosyjskich napędzonych popowiczów, warszawskich Endeków i Pepeesów, tutejszych żydziaków-terorystów i jakbądź się nazywa cała ta banda, co, pomimo niedawnej przegranej, dalej knuje swe spiski, dalej demoralizuje wieś i wojsko, a może dojść do tego, że, jeżeli jej w porę nie zwalczymy z kretezem, to ona zagładzi i nas, i Monarchię, przeciw której już zanadto wiele powstaje elementów przewrotu.

A więc dużo prosimy od Rządów Cesarzskich, ale też możemy i coś niemało znaczącego ofiarować za równouprawnienie, a mianowicie: skuteczną pomoc klasy, jeszcze zwartą ławą na ziemi osiadłej, która, walcząc przeciwko rewolucyi, walczyłaby za własną egzystencję — pro aris et focis — a więc walczyłaby dobrze.

Niechże nam Najjaśniejszy Pan da te równe prawa, o które prosimy, a obronić je potrafimy my sami, broniąc tem samem i całą Monarchię.

O edukacji młodzieży szlacheckiej.

Radykalna zmiana kierunku w edukacji młodzieży szlacheckiej jest zdaniem piszącego jednym z głównych dezyderatów, do których dążyć powinniśmy, bo od niego zależy w znacznej mierze przyszłość naszej szlachty.

Mieliśmy w Wilnie, skasowany w czasach popowstaniowych, tak zwany szlachecki instytut, przy ulicy Dominikańskiej.

Zniknięcie tej szkoły wzorowej, wyłącznie szlacheckiej, było niepowetowaną krzywdą dla wychowania młodzieży w zasadach jej stanowi odpowiednich, to jest zachowawczych i monarchicznych.

W tych latach, kiedy młodzi chłopcy kształcić się powinni, są oni nader wrażliwi na różne podszepty tych trucicieli dusz młodocianych, co to malcom przed-

stawiają idee demokratyczne, jako postęp ludzkości, do którego dążyć trzeba, wtenczas kiedy w rzeczywistości idee demokratyczne, właściwie rewolucyjne, są tylko pierwszym objawem moralnego i intelektualnego rozkładu Państw upadających i społeczeństw przeżytych. Te trucielele wmawiają młodzieży naszej, iż skasowanie różnic stanowych, jako akt poświęcenia sobkowstwa kastowego, jest niezbędną ofiarą, wtedy, kiedy w rzeczywistości, jak nas tego uczy historia, dla dobra państwa nie klasy uprzywilejowane, to jest umysłowo, fizycznie i majątkowo wyżej stojące, trzeba strącać do szeregów motłochu, ale przeciwnie, trzeba w najżywotniejszym interesie państwa z pośród motłochu osobniki rzeczywiście wybitne i na to zasługujące podnosić i wcielać do rzędu stanów uprzywilejowanych. Tak być powinno nie mniej dla pożytku tychże klas, jak i samego państwa, jeżeli takowe ma być rzeczywiście zachowawczem. Tak robili w starożytności mistrzowie na wieczne czasy państwowości i prawa, Rzymianie, za czasów ich wielkości, tak robiły Rzeczypospolite greckie, a włoskie w okresie średniowiecznym ich rozkwitu, tak robią dzisiaj Anglicy, którym przecie zwyrodnienia umysłowego lub zaśnieźdialości kastowej nawet najbezczelniejszy z łgarzydemagogów nie ośmieliłby się zarzucić. A jednak tem ogromne Państwem Angielskiem przodującym w rozwoju całej ludzkości, jawnie rządzi nieliczna arystokracja, pojmująca swe obowiązki, lecz zawsze przejęta zdrową wyłączością kastową, chociaż nie zawsze rodową. Nam, Polakom, trzeba też nie zapominać, że tak samo robiła za swoich pięknych czasów i Rzeczypospolita nasza, może tylko w zbyt małych rozmiarach, nobilitując i przyjmując wszystkich tych, bez różnicy pochodzenia, którzy na to zasługiwali. Coś podobnego widać i w ustroju państwowym Rosyjskim, mianowicie udzielanie dziedzicznego szlachectwa czynownikom, którzy pewną rangę otrzymali; ale że kwestya tych koniecznych ulepszeń, których moim zdaniem wymaga zbyt ułatwione przejście do stanu szlacheckiego, wcale nie wchodzi w zakres mojej pracy obecnej, konten-

tuje się tu prostą wzmianką, o tem, że też u nas w Rosyi dla zasłużonych szlachectwo jest dostępnem.

Trzeba więc nam, starszym, mieć bacny wzgląd na to, że zbyt często, zbyt łatwo taki nasz żak kilkunastoletni posłucha kolegę, syna żyda-farmazona lub kadeta, który będzie go namawiał do przyjęcia za święte, hasła „liberté, égalité, fraternité“ zamiast usłuchać zdania rodziców, szlachty poczciwej. Taki blażen przecie nie wie, że nawet we Francyi, skąd to hasło niby to szlachetne, w rzeczywistości idyotyczne, pochodzi, nigdy ono bezwarunkowo w życie nie weszło, nawet w tym czasie, gdy do trzech słów wyżej wspomnianych dodawała oparta na gilotynie, osławiona „République française une et indivisible“, słowo czwarte i ze czterech najznamienniejsze „ou la mort“. Hasło to, powtarzam to słowo, jest idyotyczne z tej prostej przyczyny, że od stworzenia świata równości absolutnej, wolności bezwzględnej i braterstwa choćby pozornego między walczącymi o byt — nigdy nie było i do końca świata nie będzie. Puszczone w obieg przez francuskich doktrynerów, kosztowało ludzkość potoki krwi, zatrulo, jak druga francuska choroba, głowy i mózgi kilku generacji młodzieży, a nikomu nigdy żadnej korzyści nie przyniosło. A jak to trucie dusz młodocianych jest zgubne, jak to gorszenie nieświadomych jest ciężkim przestępstwem względem ludzkości, dowodzi nie tylko Ewangelia Święta, która podobnym trucicielom życzy przywiązania kamienia młyńskiego do szyi, nim ich wrzucą do wody, ale też i historia nowożytna Państwa Rosyjskiego, która pokazuje, ilu to potomków najznakomitszych rodów ruskich poszło, jak to wtenczas mówiono, „w narod“, a stamtąd na szubienicę lub do Schlisselburga, schwytani i oddani w ręce żandarmów przez ludzi z narolu, jeżeli nie przez prowokatorów żydowskich.

Ażeby wrócić w nasze ciasne ramki litewskie, z których staram się jak najmniej wychodzić, któż z nas nie pamięta, jak temu lat kilkanaście schwytano na Newskim Prospekcie z bombami w ręku, gotowemi

do zbrodni Królobójstwa szlacheckie dzieci litewskie, które były synami i wnukami marszałków szlachty tu-tejszej, a które, postępowo wychowane z żydziakami i znajdując że to jest ohydna kastowość, nie licująca z postępem, przyznawać się do szlachectwa, dały się zaciągnąć w zbrodnicze szeregi żydowskiej i nie-żydowskiej kanalii — przestępców politycznych.

Trzeba więc bezwarunkowo i koniecznie w tak niebezpiecznych latach chłopięcych izolować młodzież szlachecką od groźnej zarazy demokratycznej i wychowywać ją osobno na obywateli o pojęciach niezachwianie konserwatywnych i monarchicznych.

Trzeba, aby ta młodzież była i została pożyteczną dla siebie, dla Rodziców, którzy często dla jej edukacji ponosili najcięższe ofiary, i dla Państwa, któremu kiedyś służyć będą. Poczula to już szlachta rdzennie ruska i może trochę za późno, ale praktycznie, w różnych guberniach centralnych pozakładała tak zwane pensjonaty szlacheckie, w znacznej części swojemu celowi odpowiadające. U nas na Litwie nader byłoby pożądanem wprowadzenie czegoś podobnego z pewną jednak niemaloważną odmianą, a mianowicie: pożądanem mi się zdaje, ażeby nie tylko był przywrócony do swego pierwotnego przeznaczenia Wileński Instytut Szlachecki, dziś zamieniony na instytut dla dziewcząt miejskich, — to jest na szkołę, której rezultaty należą raczej do szeregu niepożądanych, ale trzebaby było, ażeby egzystowały w każdym powiatowym mieście szkoły czteroklasowe, wyłącznie dla szlachty przeznaczone, z których odznaczające się osobniki przechodziłyby do Instytutu Wileńskiego lub innego gubernialnego, a ci, co mieliby powołanie, do seminarium, ci zaś, co chcieliby pójść inną drogą, do szkół technicznych lub tam, gdzieby ich własne upodobanie i wola rodziców pokierowały. Mieliby wstęp do tych instytucji ułatwiony, ale poszliby tam już zahartowani przeciwko demokratycznej zarazie i jej skutkom, tak dla uczącej się młodzieży fatalnym.

Wiedziałyby każdy młody szlachcic, że tak zwana „polska wielka idea demokratyczna“ jest w naszym

kraju największem oszustwem czasów nowożytnych, że każdy demokratą jest u nas w Polsce, a jeszcze częściej na Litwie — albo umyślowo upośledzonym osobnikiem, jeżeli, będąc ziemianinem, szlachcicem, szczerze, nie dla poży lub zdobycia mandatu — zapisał się do demokracji, albo też wulgarnym „facetem“, czującym własną nicość, a zazdroszczącym wyżej postawionym wszystkiego, co daje urodzenie, dostatek i zdobyte przez ojców stanowisko społeczne. Młody szlachcic wiedziałby, że, jeżeli są, a raczej byli między Rosyanami nawet książęta-nihilisci, fanatycy przekonani, gotowi dla idei poświęcić mienie i życie, to między naszymi polskimi demokratami takich nie było i nie będzie, bo są jedynie tacy, którzy chcieliby do własnego, to jest niższego poziomu, zniżyć wszystko, co wyższe, czując doskonale, że sami ani pracą, ani geniuszem nie są zdolni podnieść się i tym wyższym dorównać.

W takich warunkach wielka idea demokratyczna wzbudzałaby w uświadomionym młodym szlachcicu nie podziw, lecz pogardę, nie współczucie, lecz politowanie. Niczego innego dla zdrowia moralnego młodzieńca nie trzeba, bo, gdyby ze szkoły szlacheckiej tylko ten hart umysłowy na całe życie wyniósł, byłoby to już dosyć.

Szczegóły tej radykalnej reformy, sposób przeprowadzenia takowej obmyśliliby technicy-pedagodzy — a ponieważ byłaby to reforma, związana z niemałymi kosztami, musiałyby o tem myśleć i przyszłe ziemstwa, i Rada Ministrów. Piszącemu idzie tu tylko o niezbędne zasady, ażeby młodzież szlachecka wychodziła ze szkoły na arenę życia należycie przygotowaną i uzbrojoną do walki. Nie trzeba chyba tu dodawać, że w myśli mojej te szkoły szlacheckie bynajmniej nie powinny być szkołami paniczyków, przeciwnie, powinny być szkołami, przygotowującymi młodzież do trudnych warunków życia obecnego, ze szczególnem staraniem o zdrowie i należyty rozwój fizyczny, gdyż aforyzm „mens sana in corpore sano“ (zdrowa dusza w zdrowem ciele) jest to prawda nad prawdami.

Na sam koniec zostawiłem najgłówniejszą odrębną cechę takich szkół dla naszej szlachty niezbędną: a mianowicie, wykształcenie bezwzględnie w duchu zachowawczym, ogólnie państwowym i prawomyślnym całej nowej generacji szlachty tutejszej. Działwa o polskiej domowej kulturze, zachowując swoją kulturę polską w łonie rodziny, z tych szkół wyniosłaby świadomość, że należy poza ciasnem kółkiem domowem do uprzywilejowanych obywateli ogromnego i różnorodnego Imperyum Rosyjskiego, szczyciłaby się tem, Rosyęby poznała i pokochała, jako swoją szerszą ojczyznę, tak jak każdy z nas lubi swoją parafię, a poza jej granicami czuje się, jak w domu, w całej dyecezyi, ceni swego proboszcza, a jeszcze wyżej stawia swego biskupa.

Może inni obmyślą na to sposób lepszy. Ale mnie się zdaje, że narazie najlepiejby było również w powiatach, jak i w Wilnie, ażeby połowa uczniów była synami prawowitych szlachciców, z rdzennej Rosyi pochodzących.

A więc, gdyby nie stało szlacheckich dzieci Rosyan tutaj osiadłych dla dokompletowania tej niezbędnej połowy czysto rosyjskiej, a z początku prawdopodobnie taki brak-by się ujawnił, sprowadzonoby rosyjskich malców szlacheckich z odpowiednich instytucyi centralnej Rosyi na koszt Rządu, jako stypendystów do szkół tutejszych. W wyższych klasach bardzo skutecznym sposobem zrównania pojęć i pobratania się na całe życie byłoby wysyłanie po kilku czy po kilkunastu zdolniejszych tutejszych uczniów ze szkół szlacheckich litewskich do takichże samych, w centralnej Rosyi egzystujących. Miałaby ta wzajemna wymiana uczniów, która się w wysoko cywilizowanych krajach zachodniej Europy w coraz to większych rozmiarach praktykuje, jeszcze jedną bezwarunkowo dobrą stronę: ułatwiłaby nauczycielom i profesorom, którzyby też musieli bezwarunkowo być szlachtą, jedno z najtrudniejszych, a nawet najwstrętniejszych ich zadań w szkołach tutejszych, mianowicie: surowe wymaganie, a często formalne prześladowanie skądinąd

zdolnych i dobrych chłopaków za nieprawidłową wymowę rosyjskiego języka, „udarenja“ — i stąd pochodzących prawdziwych dramatów rodzinnych wśród chłopaków, którzy najczęściej z tego tylko powodu widzą jawną niesprawiedliwość i upośledzenie w cenzurach szkolnych, a w osobie nauczycieli swoich upatrują wrogów. W szkołach szlacheckich nic podobnego nie było, stosunek szlachty starszej, to jest nauczycieli, do szlachty młodszej, to jest do uczniów, byłby ojcowski, a cała ta działwa szlachecka, nadzieja przyszłości, prawie z początku, a szczególnie w klasach wyższych, mówiłaby doskonale tym samym językiem rosyjskim, kochałaby tę samą większą ojczyznę i, służąc na równych prawach, służyłaby z równą gorliwością Imperatorom Wszechrosyjskim.

O reformie naszego duchowieństwa.

Zdaje się piszącemu, jako katolikowi, że mało kto więcej od niego szanuje dobrych księży, mało kto tak pragnie, aby się zwiększała ich liczba i poszanowanie, które im się należy. Lecz jednocześnie mało kto żywiej ode mnie czuje, jaką niepowetowaną krzywdę źli księża wyrządzają u nas nie tylko Kościołowi Świętemu Katolickiemu, ale i nam, Litwinom wogóle, a ziemiaństwu w szczególności. Zły ksiądz jest plagą — a liczba tych ostatnich od pewnego czasu wzrasta u nas w zatrważający sposób. A więc reforma w ich składzie osobistym, w ich położeniu prawnem i towarzyskiem, a szczególnie w ich pojmowaniu własnych obowiązków jest niezbędną. O tem przemilczeć dalej nie można.

Piszący najzupełniej jest świadomym tego, że nic niema trudniejszego, jak cokolwiek o tutejszych księżach pisać szlachcicowi polskiemu na Litwie, szczególnie jeżeli zachował on jeszcze poczucie sprawiedliwości względem tego, co nietylko księżom, ale też i wiernym katolikom należy się bezwzględnie.

A mianowicie: chwalić całe duchowieństwo na-

sze — jest niemożliwym, byłoby to świadomą obłudą, a prawdę mówić o tych, którzy są szkodliwi — wywołuje masę szczerych, a szczególnie nieszczerych protestów bez końca — nietylko ze strony interesowanego duchowieństwa, ale i ze strony tych niezliczonych u nas osobników, którzy za księdzem nie widzą Pana Boga.

Nielatwe to zadanie — a jednak pisać i mówić głośno trzeba koniecznie, bo, jeżeli nie nastąpi, i to w najbliższej przyszłości, radykalna reforma litewskiego duchowieństwa, to my, co już straciliśmy z własnej winy niepodległość, język i prawo obywatelskie, stracimy jeszcze i to jedno, co nam z przeszłości pozostało — Wiarę.

Dla usprawiedliwienia tego, co mówię, zdaje mi się niezbędnym ustanowić, że jest kilka narodów w Europie, u których pewne słowa działają wprost odurzająco na władze umysłowe, jak gdyby dźwięk tych słów odrazu zamykał pewne komórki mózgowe i osobnika, który je słyszy, pozbawiał możliwości pojęcia czegokolwiek, sprzeciwiającego się już raz od dzieciństwa wbitemu w jego mózg przekonaniu o pewnej prawdzie, a jeszcze częściej o pewnym kłamstwie tradycyjnym. (To Niemcy nazywają „Konventionelle Lügen“).

Przeciętny Francuz, gdy się powie słowo „égalité“, przestaje naprzykład rozumieć, że przecie między zdaniem zbydłconego przez alkohol analfabety a zdaniem jednego z tych świątłych ludzi, którzy otwierają nowe horyzonty ludzkości, powiedzmy naprzykład: Pasteur'a, jest duża różnica, i że prawo, które temu analfabecie i Pasteur'owi równy głos nadaje w rozstrzygnięciu kwestyi narodowych żywotnych, mogłoby być bez krzywdy dla narodu bardzo mocno zmodyfikowane. Ale dźwięk słowa „równość“ już podziałał. Przeciętny Francuz nic już nie rozumie, nie słyszy i słyszeć nie chce. „L'égalité, Monsieur, l'égalité, les grands principes de 89“ — etc. etc. Trzeba mówić o czemś innym.

Przeciętny Rosyanin, nawet z pomiędzy wysoko wykształconych inteligentów, odrazu głupieje, gdy się przy nim powie „krestjanin“. Ten „krestjanin“ może być hultajem, rabusiem, pijakiem; o tem, aby go sprawiedliwie ocenić, mowy być nie może: „pomilujcie, krestjanie, krestjanam, krestjanami“, i t. d. Niema już ani prawa, ani logiki, ani sprawiedliwości — „pomilujcie, krestjanie!!“

Nasz brat-szlachcic, czy mieszczanin, chłop, czy kobieta — jeszcze w daleko większym stopniu podlegają raptownemu i nieprzewyciężonemu znieczuleniu mózgu, skoro się przed nim słowo „ksiądz“ wymówi, a jak się powie „kapłan“ — to przeciętny inteligent polski staje się odrazu półgłówkiem. Stanowczo twierdzą, że to słowo „półgłówek“ nie jest przesadzonym. Ksiądz może być nicponiem, albo poprostu oszustem, albo nawet zbrodniarzem, którego później sądy do więzienia wtrącają. To nic nie szkodzi; raz on ksiądz, już nad nim nie może być żadnego sądu. „Panie — Ksiądz! ależ, Panie — Kapłan!“ Zdaje się takiemu skądinąd inteligentnemu osobnikowi, że obowiązek każdego katolika jest — najjawniejsze przestępstwa księdza zatajać, a tem samym bezkarność mu zapewnić. U nas w najściślejszym sensie tego słowa dawne bałwochwalstwo zostało zastąpione przez księzo-chwalstwo. U kolosalnej więc większości Litwinów polskiej kultury, a szczególnie prawie u wszystkich naszych kobiet egzystuje wrodzona niemożliwość widzieć ponad interesem danego księdza interesu Kościoła Świętego Katolickiego i jego wiernych. Cóż więc dziwnego, że, mając zapewnioną sobie prawie ausolutną bezkarność i absolutny brak kontroli nad sobą, duchowieństwo katolickie w niemałej części swego kompletu na Litwie przyszło do stanu, w którym obecnie je widzimy, a który nieodzownie, gwałtownie potrzebuje reformy radykalnej!

A więc po niedługim wahaniu się, czy mam milczeć, jak wszyscy, czy mówić, jak nikt, przeżegnawszy się i wiedząc, jakie wymyślanie mię spotka ze strony kleru, klerykałów i ich dzienników za wypowiedzenie

szczerej prawdy — zaczynam od krytyki osobistego składu duchowieństwa u nas na Litwie.

Seminaria są oddawna i po dzień dzisiejszy przepelnione synami rodziców, do najniższych, a szczególnie do najmniej uczciwych warstw społeczeństwa należących. A więc, wyraźnie mówiąc, są zalane chłopstwem, którego niekulturalność, nieuctwo i chciwość są faktem jawnym i nie podlegającym żadnemu wątpieniu.

W wileńskim, naprzykład, Seminarium naszym, ze stu dwudziestu z górą alumnów — niespełna jest 10, którzyby należeli choć do zupełnie drobnej ubogiej szlachty, życiem i nieuctwem już niewiele od najciemniejszych chłopów odróżnionej. Z zamożnej rodziny, szanowanej i bogobojnej, niema ani jednego. W Kownie jeszcze gorzej pod tym i wielu innymi względami, a prawdziwe powołania kapłańskie zaczynają między nami być rzadkością. Nie pochodzenie więc, nie brak herbu jest tu zawadą ku prawidłowemu rozwojowi duszy kapłańskiej. Byli znakomici biskupi, a nawet papieże wielcy, z najniższych warstw pochodzący. Zawadą tu jest niemoralne środowisko, z którego przeciętny ksiądz litewski wychodzi, niosąc najczęściej przez całe swe życie piętno takowego. Aczkolwiek nie jest bynajmniej niemożliwym, ażeby wyborowe, wyższe natury otrząsły się z czasem z upadających wpływów rodzimego środowiska, są to jednak wyjątki, a w gospodarstwie narodowym na wyjątki liczyć nie wolno; decyduje zawsze większość przeciętna.

Cóż więc dziwnego, że się u nas szerzy, jak tłusta plama na papierze, maryawityzm jawny i tajny? że ciągle rośnie liczba tych, co chodzą do ich kaplic, a jeszcze więcej tych, co ich główne zasady uznają, tak zwanych sympatyków? A przecież ta nowa sekta, czy może, jak mówią, ta nowa religia, stawia swoim adeptom takie wymagania wiary i czci względem „Mateczki Kozłowskiej“, że niemożliwym byłoby pojąć raptownego wzrostu liczby jej wyznawców, jej księży i Biskupów, gdyby najgłówniejszym czynnikiem tego wzrostu nie był, niestety, coraz bardziej

wśród nas rosnący wstręt, który wzbudza życie, maniery, chciwość i inne przywary wielu naszych księży katolickich.

Innego powodu niema i być nie może. Do śmieszności, naprzykład, niesprawiedliwym jest powtarzanie przez różne dewotki, różnych dziennikarzy, a szczególnie przez samych księży bajki o tem, że Rząd Rosyjski proteguje maryawitów tylko dlatego, ażeby zaszkodzić katolicyzmowi i polskości na Litwie.

W rzeczywistości maryawici są takimiż Polakami, pomimo, że się polityką nie zajmują, jak księża katolicy, i wyszli najczęściej z tych samych seminariów; a najgłówniejszą, kardynalną różnicą między ich księżmi a naszymi jest wcale nie to, że maryawici nie są, jak zbyt wielu naszych księży, zwolennikami zasad polskiej demokracji narodowej, lecz jedynie to, że maryawici udzielają wszystkich Sakramentów Świętych darmo, datków od swoich parafian nie wymagają, żyją w prawdziwym ubóstwie i, przynajmniej dotąd, zachowują pozory życia takiego, jakie kanony Świętej Religii Katolickiej naszym księżom świeckim przepisują, a ci zbyt często nie obserwują. W rzeczywistości Rząd Rosyjski ani maryawitów, ani żadnej innej religii chrześcijańskiej nie obdarza swoją protekcją, bo takową całkowicie i wyłącznie zachowuje dla religii państwowej, to jest dla Prawosławnej. A jak Rząd Rosyjski, szczególnie w wyższych jego sferach, od czasu manifestu tolerancyjnego obiektywnie się zapatruje na wszelkie inne, aniżeli prawosławna, religie, byleby takowe nie zdradzały dążeń antypaństwowych lub antidynastycznych, dowodzi fakt, który niedawno tu się zdarzył.

Starowierzy tutejsi, korzystając z nowej wolności, wystawili sobie za miastem świątynię, jak na niewielką ich liczbę w Wilnie, okazałą i kosztowną. Na pierwsze uroczyste nabożeństwo zaprosili między innymi pana Gubernatora i pana naczelnika Kancelaryi Jenerał-Gubernatora, a więc głównych przedstawicieli Rządu Cywilnego w gubernii. Wśród tłumu obecnych byli tacy, co pamiętali nie tak jeszcze dalekie czasy,

kiedy ich, starowierów, uważano za złoczyńców, kiedy ich dzieci uważane były za nieślubne, kiedy praw cywilnych nie mieli, kiedy ich biskupi, wyświęceni w wiosce galicyjskiej Białokrynica, kryć się musieli w Państwie, jak złodzieje, a schwytani, gnili okuci w kajdany po turmach z wulgarnymi przestępcami lat kilkadziesiąt. Nazywano ich wtedy i dotąd często nazywają — starowierami „austriackiego Tołku“. Przez blisko parę wieków uważali oni państwo Rosyjskie za wroga swej wiary, a Cesarzów za wcielenie Antychrysta. I oto teraz, gdy podczas liturgii nastąpiła odpowiednia chwila, wszystko, co było w świątyni, padło na kolana i wygłosiło modlitwę za Imperatora Wszechrosyi, dziękując Mu za przywrócenie tak długo im odmawianych praw ludzkich i obywatelskich. A gdy obaj dygnitarze, sami gorliwi wyznawcy Prawosławia urzędowego, — wstali i wzruszeni wyszli — mało komu nawet przyszło do głowy, a im samym pewno że nie, iż nie parę wieków, ale tylko parę dziesiątków lat temu pojechaliby oni za taką manifestacyę w świątyni starowierów nie do domu, ale wprost na Syberję, na kibitkach, bo wtenczas kolei żelaznych nie było.

Wracając do złych księży, zbyt łatwo byłoby mi przytoczyć szereg imion, dowodzących bezwzględnej prawdy tego, co wyżej powiedziałem. Lecz nie chcę używać tego zbyt łatwego sposobu polemizowania. Piszę nie dla motłochu, ale dla wybranych, a dla tych trzeba innych, więcej przekonywających argumentów. Niegodziwi księża są to zawsze dotąd wyjątki, chociaż w ostatnich czasach zatrawiająco liczne; ale to nie racya — bo tak bywało od pierwszych wieków chrześcijaństwa. W pewnych okresach znajdowały się, szczególnie w miarę wzrostu ich bogactw, całe klasztory mnichów, trudniących się łajdactwem, i Kościół Katolicki nawet w poczet świętych zalicza wielu gorliwych reformatorów, którzy do porządku przywracali zwyrodniałe zakony w Europie i w Azji. Księża, biskupów, a nawet Papieży, których życie było skandaliczne, historia bezstronna nam wskazuje cały szereg, a Reforma Lutra, która od kościoła katolickiego

setki milionów wiernych oderwała, żadnej innej przyczyny nie miała. Tak więc było od półtora tysiąca lat z górą i chyba bardzo jest słabą nadzieją, ażeby nie było zupełnie tak samo kiedyś w dalekiej przyszłości. A pomimo tego Kościół Święty Katolicki dalej trwa i coraz więcej rośnie w powagę w miarę tego, jak krytyka swobodna ludzi świeckich wśród społeczeństw katolickich Zachodu wysoko wykształconych stale oswobadza go od osobników szkodliwych.

Tę samą kulturalną i wysoko umoralniającą robotę trzeba i u nas przeprowadzić koniecznie, bo wielka ku temu pora. A dlatego trzeba nigdy nie zapominać, że od ludzi można wymagać wiele, ale nie tego, co ich siły przechodzi. Księża świeccy i mnisi, poza kościołem i udzielaniem Świętych Sakramentów, są takimi samymi ludźmi, jak wszyscy inni — ułomni, ulegający pokusom i do wszystkich grzechów równie skłonni, jak inni, szczególnie jeżeli droga do grzechu jest im ułatwioną przez trzy potężne czynniki rozkładu, którymi są: 1) bogactwo—albo nawet tylko zbyt teczny dostatek u tych, co mają dawać przykład ubóstwa ascetyzmu, 2) brak należytej kontroli nad życiem i działalnością tych, którzy mają wiernych uczyć, jak oni mają działać i żyć, a własnym dobrym przykładem tej swojej nauki nie popierają, a 3) z pewnością mniej lub więcej bezwzględna bezkarność za przewinienia, za przestępstwa, a nawet za zbrodnię.

Otóż w naszym światku litewskim te trzy czynniki działają wspólnie na demoralizacyę duchowieństwa, i zdaje mi się, że nie przesadzam, twierdząc, że wobec siły i jednoczesności tych trzech czynników rozkładu można nawet się dziwić, że duchowieństwo nie jest jeszcze znacznie gorszem; a co za tem idzie, zdaje mi się, że można także spodziewać się, iż po mniej lub więcej radykalnem usunięciu przyczyn zła, duchowieństwo nasze litewskie powróci do stanu normalnego, a może nawet i dosięgnie możliwej, to jest względnej doskonałości.

I tak — księża na Litwie są stanowczo za bogaci, mają za wiele pieniędzy, gdyż oprócz pensyi stałej,

mają oni folwarczki wcale pokaźne, a szczególnie wielkie dochody z udzielania niektórych Sakramentów Świętych. Ze chrztów, ze ślubów, z pogrzebów (jura stolae), i z różnych datków dobrowolnych, niby to jednorazowych, lecz tak zwyczajem wiekowym uświęconych, że stanowią one formalną stałą rentę, do urzędu księdza proboszcza przywiązaną, z kolend, kwest, wpisowych i t. d., przeciętny ksiądz proboszcz ma dochód tak znaczny, że, pomimo zbytkownego życia ich naogół, zostawiają oni u nas po śmierci prawie bez wyjątku swojej legalnej, a czasami innej familii znaczne kapitały. Wyjątkiem są ci księża, co rozdają ubogim wszystko to, co biorą od zamożniejszych, a po sobie zostawiają rodzinie tylko pamięć dobrego kapłana. Nawet u tych księży, u których żądza pieniędzy nie jest nadmierną, a zysk z parafian bywa umiarkowanym, liczą księża między sobą, że dochody tak zwane niestałe muszą dawać rocznie około rubla z duszy.

Otóż skutek niezliczonych konfiskat kościołów z czasów Murawiewa i jego bezpośrednich następców, a też skutek zamykania kościołów i kaplic z warunkiem przyłączenia wiernych do liczby parafian coraz dalszych kościołów, parafie pozostałe po takim dziesiątkowaniu doszły na Litwie poprostu do potwornych rozmiarów. Takie parafie, które liczą po kilkanaście tysięcy dusz, egzystują w każdym powiecie, a mniejsze od trzech tysięcy są prawdziwą rzadkością. Jakże wielkie dochody dają takie parafie swoim proboszczom! A jakąż krzywdę wiernym wyrządza taka wielkość parafii!

Nie trzeba chyba dowodzić, że niema żadnej fizycznej możebności, ażeby proboszcz nawet młody i zdrów takiej parafii, liczącej dusz choćby tylko dziesięć tysięcy (a jest takowych sporo), a przestrzeni od końca do końca parafii dobrych kilka, niekiedy kilkanaście mil, nawet przy pomocy wikarego, który zwyczajnie bywa tylko mansyonaryuszem, de facto niewielką stałą pensję pobierającym, mógł należycie zająć się pasterstwem swojej owczarni. Proboszczowie

tacy niechętnie przyjmują jednego wikarego tam, gdzie byłoby roboty dla trzech.

Do tego jeszcze dodać należy, że proboszcz, jako najczęściej chłop z pochodzenia, ma największe upodobanie w gospodarowaniu na własną rękę na tej ziemi, która jest do kościoła przyłączona, i na to nie mało czasu swego poświęca.

Jeżeli więc statystycznie łatwo obliczyć, ile przeciętnie secin ludzi w parafii, dajmy na to, liczącej dziesięć tysięcy dusz co rok ciężko choruje i umiera, to można sobie wyobrazić, ilu z tych biedaków iść musi na tamten świat bez spowiedzi i bez ostatniego pomazania, podczas gdy przez to dochody proboszcza nie zmniejszają się, ale, przeciwnie, rosną, bo familia takiego, co umarł bez spowiedzi, nieraz największe ponosi ofiary, aby pogrzeb był uroczysty, a to słono kosztuje. Wypada niekiedy sprzedać krowę, a czasem i dwie.

Pewna i to niemała część tych wielkich dochodów idzie gdzieś na stronę, ale to, co zostaje dla księdza proboszcza, stanowi jednak w większych parafiach blisko że gubernatorską pensję i nie może nie wpłynąć ujemnie na duszę tak raptem zubożonego księdza, z gminu pochodzącego.

Skutki takiego raptownego zubożenia się chłopca po wyświęceniu go na kapłana są zwykle ujemne, a trzeba liczyć, że z włościan pochodzi więcej, niż dziesięć dziesiątych księży o polskich nazwiskach w dyecezyi wileńskiej. A ci, którzy w tejże dyecezyi noszą nazwiska litewskie, są wszyscy bez wyjątku pochodzenia chłopskiego.

Gorliwość takiego księdza w umoralnianiu swojej parafii, rozumie się, bywa różną, ale ogólna cecha specyficznie chłopskiego zapatrywania się na cudzą własność jest nawet u księdza, jeżeli z gminu pochodzi, tak odmienna od tego, co, zdaje się, powinno byłoby być, że przez trzydzieści parę lat od czasu, jak objąłem po rodzicach majątki, w których są trzy parafie, a w majątkach mojej żony — cztery, a więc w siedmiu parafiach mieliśmy przez kilkadziesiąt lat tylko coś

kilkanaście razy wypadek, żeby chłop czy baba przynieśli cokolwiek z rozkazu księdza jako restytucję, razem coś około dziesięciu rubli, kiedy przez ten czas skradli włościanie z lasów, z gumien, z pól i z łąk, podług najskromniejszych obliczeń, z górą 100,000 rubli.

Nie podlega więc najmniejszej wątpliwości, że z chłopów pochodzący proboszczowie czy nie umieją, czy może wcale nie mogą zmienić przekonania chłopskiego, iż „chto u lesie nie złodziej, toj u chacie nie haspadar“, i że każdy chłop, każda baba, co do dworu przychodzi na robotę, uważa za swoje prawo, jeżeli nie co lepszego, to choć kawał powrozu, kawał żelaza czy skóry ukraść, a jeżeli i to się nie uda, to choć garść nasienia wynieść w pończochach czy butach.

Prawo kanoniczne mówi, że póty za kradzież niema rozgrzeszenia, póki nie będzie uczyniona przez złodzieja restytucya. A jaka bywa restytucya w praktyce u nas na wsi, to chyba od piszącego mało kto lepiej wie.

Zbyt wielkie dochody proboszczów mają jeszcze i inną bardzo ujemną stronę; mianowicie, że ideałem każdego sprytniejszego chłopca staje się wyprowadzenie jednego z synów na księdza i że do tego celu dążą różnymi dozwolonymi, niekiedy niedozwolonymi środkami, a szczególnie, że w tej pogoni za stanowiskiem intratnem rodzice nie zważają na to, czy chłopiec ma, czy też wcale nie ma powołania. „Chto ma je księdza u rodie, toho i czort nie ubodie“. A więc „marsz do seminaryum!“ Jednocześnie zjawia się po miastach coraz częstsza antreprzyza spekulacyjna dla wytwarzania przyszłych proboszczów.

Kucharki, ekonomki, ochmistrzynie, guwernantki, które przez pół życia ciężką pracą uciulały sobie trochę grosza, jednak stanowczo za mało, ażeby żyć z procentów drobnutkiego kapitaliku swego, zbyt często upatrują sobie, czy to w kredensie, czy w terminach, czy między służbą wiejską mniej lub więcej (najczęściej mniej) odpowiedniego chłopca, wychowują takowego na swój koszt, na to łożą zapracowane pieniądze, pod koniec często, gdy zabraknie grosza, odmawiają sobie

literalnie jadła i chleba, aby tylko nakoniec oddać swego wychowanka do seminaryum, w nadziei, że, gdy zostanie księdzem i pójdzie „na parafie“, będą one same, jako gospodynie, czy rzekome ciotki (zależy to od stanu spekulantki), żyć w dostatku przez resztę swych lat.

Jakże dalekim jest ten wzniosły ideał księdza, który sobie naród nasz stworzył i w który dotąd wierzy, od tej szarej prozy życiowej, od tych nędznych rachub czysto prywatnego interesu, z których wytwarzają się powołania do życia bez pracy w ciepłych plebaniach.

Seminaryum wyrzuca co rok w życie pewną liczbę księży bez żadnych tradycji, bez żadnej znajomości świata i ludzi, przy którym stoją całe familie chłopstwa chciwego, a nawet czasami złodziejskiego, narażając ich, młodych i zdrowych, na wszystkie pokusy, daje niedawnym parobczakom prawie odrazu zaszczyty i pieniądze, a otoczenie takiego księdza, zaślepione dewoty i dewotki, odrazu wbijają świeżo wyświęconemu w głowę, że księdzu wszystko się należy i że wolno mu wszystko. Cóż więc dziwnego, że w takich głowach i zielono, i pstro? Dziwnem byłoby, gdyby działało się inaczej.

Z ogólników i opisaniami tego, co jest, przechodzę do notowania tego, co powinny być w tej tak ważnej, tak żywotnej dla nas kwestyi reformy duchowieństwa katolickiego na Litwie.

A zatem przedewszystkiem piszący jest zdania, że trzeba zająć się rzeczą od samego początku, „ab ovo“, to jest od reformy seminaryum.

Na czele seminaryum wileńskiego i kowieńskiego powinni byliby stać kapłani-szlachta, o ile można z panów pochodzący, ogólnie szanowani, rozumni, energiczni. Przedewszystkiem powinny być tacy, którzyby po niekrótkim pobycie w Rzymie byli przejęci duchem Świętego Kościoła Katolickiego Rzymskiego, a więc prawdziwą jego tradycją, gdyż nawet w zasadach tradycya rzymska jest bardzo różną od tego, co katolik światły z przykrością tutaj w Wilnie widzieć musi.

Tylko taki dyrektor seminaryum, któryby znalazł osobiście spokrewnionych mu wielu ziemian, mógłby zwracać nie tylko baczną, ale i skuteczną uwagę na środowisko, z którego pochodzą kandydaci na alumnów seminarzystów. Mógłby przez proboszczów odpowiednich parafii kontrolować wiadomości, podane mu przez ziemian, i takim sposobem nigdy nie przyjmować chłopca, którego pochodzenie i przeszłość nie byłyby dokładnie wiadome. Powinien byłby Ksiądz Dyrektor bezwzględnie wyłączać kandydaturę każdego chłopaka, któryby pochodził ze środowiska, żadną, albo zbyt słabą gwarancją moralności dającego — bo środowisko, czyli rodzina najbliższa mają tu ogromne, jeżeli nie zawsze decydujące znaczenie, i nie darmo przysłowie mówi: „Jakie drzewo, taki klin, jaki ojciec, taki syn“.

Trzeba widzieć, jak sprytnie takie chłopaki układają się, jak zrecznie zresztą nauczeni udają bogobojnych, tylko o Panu Bogu myślących, kiedy w rzeczywistości myślą, również jak ich rodzice, tylko o tem, ażeby mieć gospodarkę, parafię, pieniądze i wszystko, co za tem idzie.

Dyrektor seminaryum nie może i nie powinien być naiwnym, nie powinien być tylko dobrym, choćby najświętobliwszym „księżulą“. Ostrożność powinna być jego główną zaletą, gdyż od jego znajomości ludzi, od bezwarunkowej prawdziwości zasięgniętych przez niego informacji, od należytej rozumnej oceny zebranych wiadomości, zależy w znacznej części przyszłość miejscowego duchowieństwa, a więc powiększenie czy zmniejszenie liczby złych księży bez powołania. Tacy są obecnie prawdziwą plagą krajową, a odstrasza ją szczególnie w sferach ziemiańskich, niemało natur szlachetnych od wstąpienia do seminaryum.

Taki dyrektor seminaryum powinien byłby być zasadniczo głuchym na wszelkie rekomendacje dewotek, pań i starych panien, a mieć oczy zwrócone ciągle tylko na cel, to jest na wytworzenie możebnie wielkiej ilości prawdziwych kapłanów podług serca Bożego. Taki ksiądz dyrektor powinienby wydalać

bez litości nawet przed samem wyświęceniem wszystkich kleryków, którzy już zdradzają złe skłonności — chciwość, nieskromność i upodobanie do demagogicznego politykowania — a takich jest, szczególnie od lat kilku, niemało.

Rozumie się, że ani niezłomne zasady Świętego Kościoła Katolickiego, ani nawet prosty rozsądek nie mogą na to zezwolić, ażeby przyjmowano do seminaryum wyłącznie synów rodzin szlacheckich. Z drugiej strony nie można też zamknąć oczu na ten fakt niezaprzeczony, że w środowiskach drobnej, a nawet najdrobniejszej szlachty litewskiej żyją jeszcze po części dawne tradycje o honorze, o godności osobistej i o uczciwości, których w chatach włościańskich wcale niema obecnie, a dopiero kiedyś w miarę wzrastania dobrobytu wytwarzać się może zacząć. Jest więc w interesie samego Kościoła Katolickiego raczej wybierać alumnów z tej klasy, gdzie gwarancje moralności są prawdopodobne, aniżeli z takiej, gdzie takowe są nader rzadkim wyjątkiem. Praktycznie mówiąc, powinna byłaby mieć w seminaryum ogromna większość alumnów, ze sfer średniej i drobnej szlachty pochodzących, a tylko mniejszość, z rodzin nie-szlacheckich, lecz skądinąd dostateczną gwarancją moralności dających. Tymczasem, jak wyżej powiedziano, jest wręcz przeciwnie, a głównie z tego powodu, że do seminaryum przyjmowani są uczniowie bez należytej kontroli, najczęściej bez dostatecznych wiadomości o środowiskach, z których pochodzą, czasem nawet z tak karygodną lekkomyślnością, że znajdują się od czasu do czasu między alumnami młodzi ludzie, nie wiadomo skąd wzięci, z podrobionymi atestami o skończeniu 4 klas w szkołach, gdzie oni w rzeczywistości nigdy nie byli.

Seminaryum nie jest szkołą zwyczajną, skąd mogą sobie wychodzić osobniki, które na własne ryzyko iść będą przez życie, może dojdą do szczytu, może trafią do kryminału, lecz bez jawnej szkody dla społeczeństwa, wśród którego obcować będą. Z seminaryum wychodzą tacy, którzy zaraz przemawiają w imieniu

Wszchemogącego Boga — mają wpływ ogromny, a u nas stokroć większy, niżby dla dobrego porządku należało. Poblężliwość więc dla kleryków i puszczanie w obieg wątpliwych księży jest na naszej ciemnej Litwie wprost występkiem przeciwko społeczeństwu. A tymczasem jest ono w seminarium na porządku dziennym. Kleryk wątpliwy? — A no może się poprawi, i wyświęcają.

W tym kierunku dzieją się, a szczególniej działy się u nas rzeczy wprost niesłychane, które dochodziły do Sądu. Mógłbym zacytować imiona, a ciekawym nawet wskazać sprawę, lat temu kilkanaście umorzoną z powodu ucieczki winowajcy, księdza P. Dobrze ją znam, bo się rozegrała w jednej z moich parafii.

Jednym słowem, od prawidłowej działalności dyrektora seminarium, od jego drakońskiej surowości dla tego, co złe, tak wszystko zależy, a jego dyrektorskie stanowisko jest tak dla dobra Kościoła całej diecezji ważnem, że podług zdania wielu ludzi, sprawy kościelne na Litwie dobrze znających, trudniej byłoby znaleźć na to stanowisko zupełnie odpowiedniego kapłana, aniżeli na stanowisko choćby samego Biskupa.

A jednak pomimo wszelkich trudności, takich szukać i znaleźć koniecznie trzeba, bo od tego cała przyszłość zależy.

Trzeba było też stanowczo wziąć rozbrat z tą tradycją, która do kowieńskiego seminarium posyła samych Litwinów i Żmudzinów, a do wileńskiego Białorusinów i Polaków — ten podział na narodowości, których interesa Święta Religia Katolicka dopiero w drugim rzędzie, to jest po uwzględnieniu interesów Kościoła uwzględnia — dotąd dał najfatalniejsze wyniki — trzeba i tu zmiany radykalnej. Jeżeliby się temu sprzeciwiało jakieś rozporządzenie czysto kanonicznej natury, o których jednak nie wiem, to trzeba byłoby postarać się o zmianę takowych w Petersburgu, a nawet, jeżeli potrzeba — w samym Rzymie, bo tak, jak jest, dalej być nie może.

W interesie katolicyzmu na Litwie, w interesie

porządku moralnego i publicznego trzeba do tego dążyć, aby połowa przynajmniej alumnów w seminarium kowieńskim byli „Białorusini“ i Polacy, którym potem, gdy się dobrze po litewsku nauczą, powierzano by parafie mieszane. Takim tylko sposobem mogliby księża, doskonale władający dwoma językami, a przytem bezstronni, sprawiedliwie zadośćuczynić potrzebom duchowym obydwóch narodowości i nie dopuszczać do gorszących scen, które się ciągle powtarzają w takich parafiach, gdzie pomimo obecności znacznego procentu chłopów Białorusinów tutejszych Biskupi naznaczają na proboszczów sfanatyzowanych chłopów litewskich czy żmudzkich. Toż często widzimy, że wnet po ich przybyciu powstają między parafianami, jedną religię wyznającymi, i synami jednego Kościoła, często najbliższymi nawet sąsiadami, dyskusye narodowo-religijne, zaczynające się od słów, przechodzące w połajankę, a kończące się na kulakach i kijach. „Argumentum baculinum“ ma niekiedy swoje dobre przekonywające strony — ale nie w Kościele ani nawet w bliskości jego. Tego pod żadnym pretekstem tolerować nie można, bo do kierowania parafii potrzebni są pasterze, a nie pastuchy.

Ponad dyrektorami seminarjów, o których nigdy zbyt wiele troszczyć się nie można, stoją naturalnie Biskupi. Piszącemu ani na myśl nie przychodzi, ażeby tym dygnitarzom Kościoła wskazywać ich obowiązki.

Znają je oni dobrze i zawsze, a jeżeli nie zawsze należycie je wypełniają, to przeważnie z tego powodu, że, najczęściej w podeszłym wieku wyświęceni, albo nie są, albo nie czują się na siłach wystąpić stanowczo przeciwko zdaniom, rachubom i rachunczkom księży prałatów, zasiadających w konsystorzu.

Ci powinni byliby być zupełnie biskupowi podwładni, a takimi zbyt często faktycznie nie są, bo nie chcą pamiętać, a czasami i przyznać, że władza biskupa nie jest podług kanonów kolegią, ale jest prawie zawsze najzupełniej dyskrecyonalną w granicach diecezji. O biskupach więc tu tylko wspomni-

nam, bo lepiej ode mnie Oni wiedzą, co dla wiary potrzebne. Natomiast lepiej może od niektórych wiem, że biskupi, którzy w pierwszych wiekach chrześcijaństwa byli obieralni, w średnich wiekach podlegali nawet zanadto władzy panujących monarchów, dopiero w nowszych czasach zagranicą, nie u nas, stanęli w wielu rzeczach pod bezpośrednią komendą Stolicy Apostolskiej, jednak nigdy nie przestawali w krajach prawdziwie katolickich Zachodu i teraz nie przestają zwracać bacznej uwagi na zdanie nie tylko poważnych księży, ale nawet i ludzi świeckich w sprawach, dotyczących się gospodarki pieniężnej diecezjalnej i nadzoru nad konduktą niższego duchowieństwa parafialnego. Niczego podobnego w Wilnie niema.

Tu, na naszej nieszczęśliwej Litwie, powrót do tej zdrowej tradycji byłby więcej, niż gdzieindziej potrzebny, bo idzie nam o kwestyę żywotną, od której zależy moralność czy niemoralność proboszczów, a więc w znacznej części jest to kwestya rozwoju czy upadku Świętej Religii Katolickiej w naszym kraju, a tem samem i pobożnego tutejszego katolickiego ziemianstwa o polskiej kulturze. Byłoby więc do życzenia, ażeby Biskup Wileński (a niktby się do tego lepiej nie nadawał, aniżeli Biskup, pan z panów) trzymał swoje duchowieństwo w najzupełniejszym rygorze, czuwał nie tylko nad jego moralnością i godnością, lecz i nad zewnętrzną przyzwoitością księży proboszczów po wsiach, zupełnie jak dowódca pułku gwardyi czuwa nad swoimi oficerami i o dobrą sławę powierzonej mu jednostki wojennej dba bezwarunkowo.

Porównanie to nie jest przypadkowem, gdyż nigdzie więcej, jak u nas w tym kraju, niema tak gwałtownej potrzeby, ażeby w szeregach księży panował rygor bezwzględny, iście wojskowy. Każdy ksiądz wiedziećby powinien, że nie wystarcza, ażeby dla zachowania należytej dyscypliny od czasu do czasu zjawiał się w pelerynce do salonu Biskupa, przed nim klękał i, wzięwszy prawą rękę pasterza w swoje obydwie, całował sygnet z pokorą. Trzeba, ażeby doskonale wiedział, iż za każdy objaw niekapłańskiego

życia, a nawet za każde karygodne wtrącenie się w niedozwoloną politykę narodowo-demokratyczną lub w jakąkolwiek inną politykę, siądzie zaraz do klasztoru na mocy rozporządzenia Biskupa „ex praeinformata conscientia“ i tam daleko od swoich wygod parafialnych, od gospodarki i tego, co tam mu życie przyjemnia, będzie siedział w celi na rekolekcyi i zjadał kaszę klasztorną przez kilka miesięcy albo nawet parę lat.

Trzeba stanowczo skończyć z dawną procedurą tradycyjną, obecnie jeszcze stosowaną do księży i z tą karygodną pobłażliwością względem niektórych proboszczów, jeżeli już tak jawnie niemoralne życie prowadzą, że usunięcie ich z obowiązku staje się nawet dla krańcowo pobłażliwego Biskupa koniecznością nieuniknioną. Dekret „Congregationis de Sacramentis“ z dnia 20 sierpnia 1910 roku w bardzo znacznej mierze uprościł procedurę konieczną w wyżej wspomnianych wypadkach, lecz bynajmniej nie uszczuplił prawa dyskrecjonalnego Biskupów, natychmiastowego karcenia winowajców „ex praeinformata conscientia“, a Rząd Rosyjski tę ich władzę uważa dotąd za bezwzględną. Niestety, dotąd u nas prawo jest jedno, a praktyka drugie. Bo cóż naprzykład widzimy, gdy, niestety, zachodzi konieczność „amotionis“, czyli wydalenia proboszcza?

Skargi na proboszcza piętrzą się całymi miesiącami, czasami całymi latami, nim zostanie przez konsystorz poruczone dziekanowi, a czasami dwóm, zjechać na miejsce i zrobić indagacyę o tem, jak się prowadzi i co nabroił ksiądz X, Y, czy Z.

Piszą się o tem papiery; trwa to tygodnie, ksiądz ma czas wszystko należycie przygotować. Parafianki i tercyarki biegają po całej parafii: „Kapłan, panie, Kapłan jest oskarżony“ i gdy dziekan nakoniec przyjedzie na obiad do oskarżonego księdza proboszcza, okazuje się, że nietylko obiad jest doskonały, ale że winnymi są tylko złe języki. Jeżeli nawet coś tam kapłan przeszkrobał, to jest on w gruncie rzeczy tak niewinny, jak nowo-narodzone dziecko. Dziekan od-

pisuje w tym kierunku raport sążnisty, egzaminatorowie prasynodyalni wcale się nie zwołują, a o tem, aby proboszcza miano posadzić w domu „correctionis“, niema już i mowy, bo proboszcz zostaje na miejscu. Dopiero w kilka tygodni albo miesięcy i „za jego własną zgodą“ tranzlokują go do innej parafii, zazwyczaj do lepszej, to znaczy więcej dochodów dającej, a więc znowu „promoveatur ut amoveatur“. Następują przenosiny, wizyty pożegnalne, żale dewotek, składki tercyarek i po kilku miesiącach ten sam ksiądz proboszcz w innej plebanii zaczyna na nowo to, co w każdym innym kraju katolickim doprowadziłoby go do zamknięcia w klasztorze, a może nawet gdzieindziej.

Cała ta procedura dyscyplinarna w razie potrzeby powinna byłaby być o tyle przyśpieszoną, ażeby ksiądz szkodliwy dobrze wiedział, że prosto z gabinetu Biskupa może być zawieszony do klasztoru i że z nim, jeżeli tylko wina jego jest niewątpliwa, Pasterz żadnych ceremonii robić nie będzie.

Dość byłoby kilku przykładów takiego natychmiastowego skarcenia, ażeby zaraz inny rygor zapanował między proboszczami, dość, ażeby wyświęcono jaką setkę nowych księży zupełnie inaczej wychowanych i z innego środowiska pochodzących, a więc ze szlachty rodowej i bogobojnej, ażeby w krótkim stosunkowo czasie te wszystkie mankamenty obecne znikły prawie bez śladu. Duchowieństwo tutejsze, trzymane przez Biskupów w rygorze, zrobiłoby dość postępu pod względem obyczajności, by mózdz z przeciętnem innym duchowieństwem katolickim zagranicą rywalizować o lepsze. Gdybym nie wierzył w możebność takiego zwrotu ku poprawie, nie pisałbym tak obszernie o księżach naszych, bo przecież pisać o tem, co jest niepoprawne i zginąć tem samem musi — nie warto.

Lecz działalność Biskupa i na polu gospodarki finansowej mogłaby zrobić dużo dobrego.

Kto z poważniejszych księży nie wie, jak zbawienne dają gdzieindziej rezultaty szkoły początkowe dla kandydatów, tak zwane małe seminaria, to znaczy

szkoły, mniej więcej gimnazjum odpowiadające—cztery lub nawet więcej klas liczące. Chłopcy, 10 i 12 lat mający, przez rodziców do stanu duchownego przeznaczeni, otrzymują tam wychowanie bogobojne i racjonalne. Pod ojcowskim nadzorem księży profesorów starszych, nabierają oni upodobania do przyszłego stanu duchownego. Tam też odbywa się niezbędna selekcya osobników wyborowych, co pójdą szeroką błogosławioną drogą do pracy nad uszlachetnieniem ludu i, świadomi swego powołania kapłańskiego, będą do śmierci pełnić wzniosłe posłannictwo z pożytkiem dla wiernych i dla całego społeczeństwa.

A obok nich, stamtąd też wyjdą w świat ci, których stan duchowny nęcić przestanie, ale wyjdą bynajmniej nie jako moralnie zdegradowani, niedoszli księża, ale poprostu jako poczciwi chłopcy, którzy wolą przez życie iść inną drogą. Tacy z czwartej klasy Małego Seminarium, tak jak ze zwyczajnego gimnazjum, pójdą sobie do szkół technicznych albo różnych innych zawodowych, gdzie ich, jako lepiej przygotowanych, bardzo chętnie przyjmą.

Że takie małe seminaryum, to jest szkoła przygotowawcza dla dobrych księży i dobrych obywateli świeckich, byłoby najpożyteczniejszą instytucją w kraju, o tem nie wątpi ani jeden porządny kapłan, ani jeden z prałatów, a wiedzą wszyscy Biskupi.

A więc dlaczego niema małych seminaryów u nas na Litwie? Poprostu dlatego, jak wszyscy księża odpowiadają, że „brak funduszków“. A gdzież się podziwiają te ogromne sumy, o których wyżej mówiono, a które są tak wielkie, że pozwalają na składanie kapitałów secinom proboszczów, od których zupełnie czego innego wymagać możnaby było? Pieniądze w ręku są, a tymczasem różni prałaci i tak zwani „gorliwi księża“ po różnych miastach udają się z prośbami do różnych zamożniejszych obywateli, a szczególnie obywateli: „Proszę dać 25, 50, 300 i więcej tysięcy rubli, a powstanie tak nam potrzebne małe seminaryum“. „A my modlić się będziemy za Panią Hrabinię“. Tak jest. Mówię z doświadczenia.

Czyż nie byłaby to piękna rola dla gorliwego i sprawiedliwego Biskupa na takich proboszczów, których dochody przewyższają pensje gubernatorskie, a których nominacja całkowicie od Biskupa zależy, nałożyć święty obowiązek płacenia dla utrzymania małego seminarium dość znacznych kontrybucyi pieniężnych ze swoich bardzo wielkich dochodów? Takie nowo powstałe dochody razem wzięte nie tylko że sownie wystarczyłyby na utrzymanie małego seminarium, ale dałyby możność złożenia znacznego żelaznego kapitału, który byt małego seminarium zabezpieczyłby na zawsze.

Wprawdzie, ponieważ ofiarność parafian, przeważnie ubogich, nie jest bynajmniej niewyczerpalną, przysłoby w takim razie księżom proboszczom intratnych parafii mniejsze zostawiać po sobie kapitały, mniejsze dawać zapomogi siostrzanom i mniejsze posagi siostrzenicom, ale za to za lat jakich kilkanaście co najdalej weszłaby w świat wzięta z szeregów szlachty cała nowa falanga księży przykładnych, którzyby, całkowicie zajęci służbą Bożą, żadnych kapitałów nie składali, a siostrzenic wcale nie mieli.

Na tem Kościół Święty Katolicki na Litwie nicby nie stracił, nawet wręcz przeciwnie — dużo zyskał.

Nielatwa byłaby też walka, a do walki przysłoby niezawodnie, z zupełnie fałszywem pojęciem samych księży proboszczów o ich prawach w dziedzinie gospodarki kościelnej. Wyobrażają oni sobie, że są samowładnymi panami w granicach swoich parafii. Ten błąd zasadniczy egzystuje u nich wszystkich bez wyjątku, a nawet między bardzo wielu parafianami, po wsiach mieszkającymi, znajdzie się ledwie kilku świadomych tego, że bynajmniej tak nie jest.

Proboszczowie rozporządzają się inwentarzem kościelnym zupełnie tak, jak gdyby to była prywatna ich własność.

To, co przed latami, a czasem wiekami było ofiarowane przez ludzi pobożnych, zamieniają, sprzedają bez żadnej kontroli i bez żadnej odpowiedzialności.

Często przez nieświadomość proboszczów cenne

starożytne przedmioty przeszły w ręce sprytnych antykwaryuszów, a pieniądze, z takiej sprzedaży otrzymane, poszły na kupienie sztucznych kwiatów dla ozdobienia ołtarzyków, ołtarzy lub na pobielenie ścian, na których się znajdowały mniej lub więcej dobrze zachowane starożytne freski. Ile to sreber artystycznych, litych pasów słuckich, nieocenionych dawnych matory i złotogłowia zostało, pod pretekstem, że „to już stare“, zastąpione przez bezwartościowe nowożytne fatalaszki, o tem tylko ten może wiedzieć, kto wertował dawne inwentarze starych kościołów, lub osobiście pamięta wiele rzeczy, które znikły bez śladu.

Przeciętny proboszcz uważa siebie w dobrej wierze, jeżeli nie za dziedzica, to za dożywotnika kościoła, dokąd go przypadkiem naznaczono, i bardzo wielu parafian nie widzi w tem nic zdrożnego, ażeby wprowadzał on tam zmiany i rzekome ulepszenia, jakie się jemu podobają. Tymczasem ksiądz proboszcz nie tylko prawnie, ale i podług kanonów Świętego Kościoła Katolickiego jest nie panem, lecz sługą kościoła. Jemu powierzona nietylko opieka nad życiem duchowem i zbawieniem czyli, jak tu mówią, „duszpasterstwem“ parafian, lecz zarówno powierzony, a nie oddany, także sam kościół, wszystkie jego bogactwa i starożytne zabytki. Kościół i cały inwentarz jest wspólną własnością wiernych danej parafii, a nigdy własnością, choćby tylko dożywotnią, jednego proboszcza; bez zgody parafian, bez upoważnienia Biskupa żadne ważniejsze zmiany nie są dopuszczalne i dlatego koniecznem jest wprowadzenie tutaj u nas na Litwie takich towarzystw nadzorczych dla czuwania nad materalnem dobrem kościoła, jak to egzystuje w Niemczech, we Francyi, w Królestwie Polskiem przy kościołach pod nazwą dozorów kościelnych i w samej Rosyi przy świątyniach prawosławnych pod nazwaniem „cerkownych starostów“.

Takie „dozory“, właściwie rady nadzorcze powinny byłyby mieć charakter kolegialny i odpowiednią władzę, większą nawet, niż tę, które mają dozory w Królestwie, powinnyby się składać z ludzi poważnych i

światłych, mogących należycie ocenić, jaką co przedstawia wartość i jakie można bez uszczerbku dla samego kościoła zaprowadzić zmiany albo ulepszenia. Powinni byliby członkowie, a szczególnie prezes takich rad nadzorczych parafialnych być ludźmi niezależnymi, ze stanowiskiem, mogącymi się skutecznie opierać zachciankom czasami niedorzecznym, a czasami niezupełnie bez zarzutu — niektórych proboszczów, a więc musieliby być ze szlachty osiadłej przy niezbędnym jednak udziale porządniejszych włościan miejscowych. To byłoby konieczne dlatego, żeby cała parafia wiedziała, że się tam odbywa wszystko prawidłowo i uczciwie.

Taka rada nadzorcza musiałaby też, jako pierwszy objaw swojej działalności, ustanowić taryfy za chrzty, śluby, pogrzeby, poświęcenia i inne funkcje kapłańskie, które nie są bezwarunkowo bezpłatne, jak udzielanie niektórych Sakramentów: spowiedzi, komunii świętej i ostatniego pomazania.

Taka taryfa byłaby najlepiej przez samych parafian ustanowioną podług średniej zamożności miejscowej i naturalnie byłaby inną na biednym Polesiu, a inną na bogatej Żmudzi, zostając jednak w pewnych ramach ogólnego unormowania, któreby Biskup i Zarząd Gubernialny dla całej diecezji zatwierdzali, aby wskazać radom parafialnym maximum i minimum tego, czego żądać można.

Nader doniosłe znaczenie miałyby, teraz już niezbędne, oswobodzenie proboszczów od gospodarki rolnej przez oddawanie w dzierżawę, rozumie się, z ramienia rady parafialnej, drobnych folwarczków kościelnych za możliwie wysoką cenę, a taka byłaby zawsze z łatwością osiągnięta. Sam proboszcz dostawałby tylko gotówkę. A kto widział na własne oczy, jakie góry chlebow, serów, płótna, szynki i wszelkich produktów wiejskich w pewne święta znoszą parafianie proboszczom, ten chyba nie może wątpić o tem, że i po tej niezbędnej zmianie nasi księża aż nadto opływaliby, jak i dotąd, w gospodarskie dostatki. Do bezpośredniego rozporządzenia księdza proboszcza został-

by jednak duży ogród, pełen owoców i kwiatów, ale zanadto prozaiczna troska o bydło rogate i nierogate, o rozmanażanie i rozplądanie takowego zostałaby dzierżawcy powierzona. Miałyby to i ten bardzo pożądanym skutkiem, że nie widać byłoby, jak to teraz ma miejsce u przeciętnego proboszcza w zwyczajnie ciasnej plebanii, kilku młodych dziewczek i bab, przy gospodarstwie zajętych, których ciągła obecność jest ciągłym powodem do bardzo niepożądanych posądzeń i gawęd, a tych stanowczo lepiej, ażeby nie było.

Życie księdza, który wymaga, zupełnie słusznie, osobnych honorów i uszanowania, powinno stać wyżej ponad wszelkiem posądzeniem, a pozorów zła dawać on bezwarunkowo nie powinien, nie tylko pod względem obyczajów, ale i pod względem bezwarunkowej poprawności w kwestjach materialnych—to jest pieniężnych. A teraz, niestety, nie zawsze i nie wszędzie tak jest.

A jak zgubne skutki może niekiedy mieć nie tylko dla parafii, lecz i dla całego społeczeństwa ta zupełnie niepotrzebna i poniekąd kapłana poniżająca troska o kapustę i owies, o wieprze i cieleta, o uprawę pola, które włościanie nie zawsze chętnie, ale zawsze darmo „dla Pana Boga“ obrabiają — tego dowodzi niezapomniana dotąd krwawa tragedia Krożańska. Pierwszym bowiem dowodem takowej był dziwaczny wybór, uczyniony wtedy przez miejscowego proboszcza. Zapytano go oficjalnie, który z dwóch kościołów miasteczka ma uleść skasowaniu. Był jeden murowany, okazały, lecz bez żadnej ziemi, do tegoż należącej, — drugi drewniany i ciasny, ale mający gospodarkę i piękne ogrody warzywne, z których kapusta dawała pokaźne dochody. Ksiądz proboszcz lubił gospodarkę, wskazał dla zamknięcia murowany, a ogrody zachował. Reszta wiadoma. Ale czyżby ten sam proboszcz nie tylko mógł taki wybór uczynić, ale nawet odważyłby się zagadać o takim przed radą nadzorczą, gdyby była rada?

Rada parafialna powinna też mieć, jeżeli nie prawnie, to przynajmniej faktycznie, nadzór nie tylko

nad gospodarką pieniężną, lecz i nad moralnością księdza i o wszelkich przewinieniach zawiadamiać oficjalnie Biskupa, dlatego żeby je karmił.

Tylko pod takimi warunkami mógłby młody ksiądz tutejszy stanąć odrazu na wysokości tego, czego opinia i Kościół Święty od niego wymagają, i zaświecić prawdziwym dobrym przykładem w kraju, który tego tak gwałtownie potrzebuje. Rada parafialna, jeżeliby tylko była złożona z ludzi rozsądnych, powstrzymałaby też wielu młodych księży od zapędów, wcale z dobrze pojętą powagą stanu duchownego nie licujących, od organizowania białych i różnokolorowych procesyi, różnych bractw i stowarzyszeń, gdzie ważniejsze są medaliki, obrazki, składki, dary i zebrania, aniżeli modlitwa, — od festów, zjazdów parafialnych, które narówni z niezliczonymi jarmarkami są prawdziwą miejscową plagą litewską.

Czy mają bowiem najmniejszą rację bytu, oprócz dla miejscowych żydów szynkarzy, te festy parafialne, które ciągle i ciągle ściągają z całej okolicy po kilku, a czasem po kilkunastu księży do jednej parafii pod pretekstem więcej solennego uczczenia tych lub innych świętych, pod których wezwaniem są zbudowane kościoły?

Nie będzie bluźnierstwem wyjawienie zdania, że Świętym korzyść z takich manifestacyi niewielka, a parafianom dzieje się krzywda ogromna, bo, kiedy dla księży sprowadza się kucharz z Wilna, wiktuały, wina i nowe karty, a od sąsiednich zamożniejszych parafian pożyczają się stoliki, łóżka i wszystkie sprzęty potrzebne, seciny, czasami tysiąc z górą parafian, z daleka przybyłych, rozmieszczają się po karczmach, stodołach i chatach śpią pokotem przez dwa, czasami przez trzy dni, spowiadają się, chodzą na sumy solenne, nieszpory, różne nabożeństwa i, rozumie się, niosą datki księżom w naturze i pieniądzech, ale obok tego (ludzie są ludźmi) piją, biją się i oddają rozpuszcieniu. Dzieci, zostawione w domu, czasami na klucz zamknięte w chatach, źle się bawią, niekiedy zapalnikami, zapalają chaty i marnie giną w ogniu.

Takich wypadków przez lat trzydzieści widziałem kilka w bliższym i dalszym swoim sąsiedztwie, a tego byłoby nie powinno stanowczo.

Lecz nie w tem tylko miałyby zbawienny wpływ rady parafialne, ale też i w tem, że prawdopodobnie ukróciłyby niepotrzebną, czasami nawet wstrętną politykomanie księży i niezdrową ich pogoń za nieustającą reklamą. Toż przecież nie można otworzyć polskiej gazety, wychodzącej w Wilnie, ażeby od pierwszej do czwartej stronicy nie spotykać ciągle i nieustannie reklamowania się proboszczów, wikarych, kanoników i tak dalej. Ksiądz X zrobił to, ksiądz Y pragnie tego, ksiądz Z sprzeciwia się temu, ksiądz W miał mowę taką i ciągle, codzienne przypadkowanie ksiądz, księdza, księdzu, księdzem, a dla odmiany księża, księży, księżom i znowu ksiądz, ksiądz, ksiądz, ksiądz!!! — Czy tego już nie zanadto?

Stanowczo zanadto, kiedy aż dwóch wielkich Papieży: Leon XIII i Pius X, w ciągu ostatnich kilkunastu lat uważało za konieczne zabronić księżom zajmować się dziennikarstwem. Stanowczo za wiele, bo dla dobra Świętego Kościoła Katolickiego nie wolno księżom siebie i suknię swoją ośmieszać taką reklamą.

Jeżeli sami księża tego dotąd nie zrozumieli, to zrozumiałyby rady parafialne, wiedząc, że jeden dobry uczynek, jedno wprowadzenie na dobrą drogę pijaków, bluźnierców, fałszywych świadków zawodowych i złodziei, którymi są przepelnione wsie nasze, więcejby miało znaczenia przed Bogiem, aniżeli sto reklam przed czytelnikami Kuryera i Gońca.—Gdyby rady parafialne pilnowały proboszczów, ażeby w rygorze żyli, byłoby cicho i lepiej.

Streszczając w krótkich słowach wszystkie wyżej obszernie opisane dezyderata, powtarzam, że my, ziemianie-katolicy na Litwie, pragnąc, aby nasi księża proboszczowie bezwarunkowo odpowiadali swojemu wysokiemu posłannictwu, — chcemy, ażeby oni wychodzili, o ile można, z rodzin uczciwych i bogobojnych, a nie z kredensów lub chat moralnie nisko sto-

jącego chłopstwa. Chcemy, ażeby zajmowali się jedynie umoralnianiem i duchowem uzdrawianiem parafian, a nie gospodarstwem rolnem pod tą lub inną postacią. Chcemy, ażeby przestali raz na zawsze zajmować się polityką, reklamą i urządzaniem festów, podczas których dziesiątki parafii przez szereg dni są pozbawione miejscowego pasterza, a umierający — ostatnich sakramentów. Chcemy, ażeby Biskupi korzystali w najszerszym zakresie ze swojej władzy dyskrecyjnej i niższe duchowieństwo prowadzili po dobrej drodze, łagodnie, jeżeli można, a jeżeli nie, to tak, jak sam Syn Boży, gdy przepędził kupczących ze Świątyni — przemocą.

Jednym słowem, domagamy się proboszczów wzorowych, bo takich mamy stanowczo za mało.

Dla pamięci tylko tu wspominam, że skutecznym, może najskuteczniejszym środkiem dla przeprowadzenia reformy duchowieństwa byłoby rozdzielenie każdej zbyt wielkiej parafii na kilka mniejszych, które jeden ksiądz mógłby obsługiwać sumiennie, a mówiąc konkretnie, nie liczących więcej, aniżeli dwa, co najwyżej dwa i pół tysiąca dusz.

Znaczyłoby to zbudowanie dobrych kilkuset nowych katolickich świątyni w naszym kraju, a w jednej wileńskiej dyecezyi przynajmniej stu.

Ale na to, niestety, trzebaby było czasu, dziesiątków lat, dużo pieniędzy, dziesiątków milionów rubli i bezwarunkowo wielomilionowej zapomogi czy pożyczki ze strony Rządu, któryby tem samem mógł powetować straty, poniesione przez nas, katolików, którym przez niezasłużone konfiskaty kościołów Murawiew i inni odebrali to, co z ofiar własnych byli sami zbudowali parafianie.

Ale póki będzie grasowała u nas samobójcza polityka narodowej demokracji warszawskiej, póki szlachta litewska słuchać będzie jej bredni, księża te brednie wygłaszać, a co za tem logicznie idzie, póki Imperator Wszechrosyjski będzie zmuszony widzieć w przeciętnym litewskim księdzu i ziemianinie-katoliku skrytych wrogów, których zwalczać trzeba, któ-

rych tępić wszelkimi sposobami Mu radzą interesowani w tem ludzie — póty i mowy o czemś podobnem być nie może. Zaczęcie tej pobożnej, tej zachowawczej roboty około stworzenia kilkuset nowych parafii, tej roboty tak niezbędnie potrzebnej, równie dla Państwa Rosyjskiego, jak dla Świętej Religii naszej — ja nie dożyję, będzie to kiedyś, będzie pewno, bo czas koi, czas goi — ale my już czasu nie mamy.

Jaką powinna być polityka nasza względem Państwa Rosyjskiego tudzież innych narodów, razem z nami na Litwie mieszkających.

1. Dla naszego ziemiaństwa katolickiego na Litwie i Białej Rusi jedyną możebną polityką jest — nie pilnować się żadnej — być szlachtą, tylko szlachtą — nic innego, a wziąć za prawidło życiowe słowa Zbawiciela: „Oddajcie Cesarzowi, co jest Cesarzkie, a Bogu, co jest Boskie“.

2. Lecz nie powinnyby to być czcze słowa, ale bezwarunkowa prawda. Powinniśmy się uważać szczerze za to, czem jesteśmy prawnie i oficjalnie, to jest za Rosyan o polskiej kulturze i podług tego życie swoje urządzać, zupełnie tak, jak praojcowie nasi całe prawie trzy wieki (1413—1697) po Unii Horodelskiej, a nawet po Lubelskiej, strzegli swojej kultury ruskiej i języka ruskiego w aktach i sądach, a pomimo to zupełnie lojalnie uważali się za część składową Rzeczypospolitej Polskiej, aż póki, zaczynając od czasów króla Jana Sobieskiego, aż do upadku, nie spolszczyli się do reszty. Teraz dzieje się odwrotnie i coraz więcej, z żywiołową wprost siłą dźać się będzie.

Cała mądrość i wszystkie wysiłki nasze powinny być ku temu skierowane, aby ta nieunikniona zmiana dziejowa zaszła bez krzywdy dla nas, powoli, wiekami, a szczególnie bez obrażania uczucia w każdym szlachcicu tak drażliwego — słusznej miłości własnej.

Dwóch Imperatorów Rosyjskich nas przestrzegali, że po upadku Rzeczypospolitej już tu na Litwie

rola Polski skończona na zawsze i że na zawsze też trzeba nam porzucić niebezpieczne dla nas mrzonki. Ta nauka, dana z wysokości tronu, i trzy klęski żywiołowe, wywołane przez Demokrację polską, które nasze szeregi ziemiańskie zdziesiątkowały, jeszcze nie wszystkich z pomiędzy nas przekonały o tem, że jedynie uporczywe niezastosowanie się do nowych warunków życiowych na Litwie doprowadziło do ruiny naszą klasę szlachecką, i że teraz już nam grozi ostateczną zagładą, jeżeli nie przestaniemy słuchać tych niepoprawnych demagogów, którzy nas ciągle bałamucają.

Jeżeli więc ja — nie polityk i nie prorok, lecz tylko jasno prawdę widzący i śmiało prawdę mówiący — pozwalam sobie przypominać swoim braciom to, co mówili Wszechrosyjscy Imperatorowie, nie jest to z mojej strony żadna megalomania, lecz tylko spełnienie obowiązku człowieka, który w ciemnej nocy z pochodnią w ręku widzi przepaść bezdenną i pędzącym w tę stronę obłąkanym woła głosem uczciwego szlachcica: „Stójcie! wracajcie! bo, jeżeli dalej tak iść będziecie, czeka was niechybna śmierć!”

Nie mam żadnej pretensyi, ażeby mnie wszystko, co wyżej powiedziano, poczytywano za objaw jakiejś nadzwyczajnej cywilnej odwagi, bo uważam takową za najświętszy obowiązek dla tych, którym warunki życia, wiek i stanowisko dają bezwzględna, absolutną niezależność. Chciałbym tylko, ażeby czytelnicy za moim przykładem odrzucali z pogardą zarzut kastowości, który Panowie Demokraci Narodowi Polscy uważają za druzgocący.

Kastowość! — A tak — Kastowość słuszna szlachty litewskiej wobec innych kastowości nam wrogich, a które od naszej o wiele mniej mają racyi bytu.

Kastowość żydów, która jest nie tylko stanowa, ale i rasowa, a więc najbardziej zamknięta kastowość, jaka w świecie być może — Kastowość proletaryatu, która jest de facto już dawną, a przez swego historyografa żyda Maxa Nordaua, niedawno ogłoszona, jako dogmat nienaruszalny w walce czwar-

tego stanu, to jest proletaryatu, który już chce wszystkim zawładnąć, tępiąc trzeci stan, to jest burżujów, którzy dziś na Zachodzie jeszcze wszystkim władają. Z jakiejż więc racyi my, Szlachta Litewska, mamy swoje interesa, tak zwane, kastowe, siebie i swoich poświęcić dla uzyskania pochwały paczki marzycieli, nie zawsze szczerych i kilku paczek najobskurniejszych pismaków warszawskich, którzy w swoich norach redaktorskich zdecydowali, że, ponieważ im, pigmeom, z najpodlejszej w świecie prasy rysztołkowej, niełatwo będzie nas obalić, to my powinniśmy sami u stóp tych umysłowych nędzarzy legnąć dobrowolnie.

A więc, Panowie Szlachta Litewska, na ten zarzut nieszczerzy, wprost komedyantski, ze strony wrogów naszych, odpowiadajcie z należytą wyniosłą pogardą dla tych pismaków, mówiąc im w oczy i za oczy. A wy nibyto nie należycie też do osobnej kasty, żydziaki, szwaby czy tam neofici warszawscy i zakordonowi? A jeżeli chcecie, ażeby między nami szlachtą, kastowości nie było, to dajcie sami przykład bezkastowości „que messieurs les assassins commencent”. (Niech Szanowni Bandyści dadzą dobry przykład, a my za nimi pójdziemy). Nietylko Panowie Bandyści co demokratycznie kwestują z bombami w ręku, bo przeciwko takich skutecznymi środkami są własny browning i państwowa szubienica, ale głównie Ci Bandyści prasowi, co to zaczajeni w redakcyach, głupców posyłają na śmierć, a sami za swoje kłamstwa biorą pieniądze i wygodnie sobie żyją na koszt ofiar swoich.

3. A jeżeli żyć chcemy, trzeba żyć spokojnie pod strzechą praocjów, jako wierni poddani swego Monarchy, skromnie, oszczędnie — podług stanu, a nie nad stan, aby dłużej przetrwać na tej naszej ziemi litewskiej.

Siedząc u siebie po wsiach, obok pracy innej, trzeba jaknajwcześniej, jaknajenergiczniej tym z pomiędzy nas, którzy wiekiem, majątkiem, stanowiskiem lub zdolnościami przodują innym, wziąć się do niezbędnej i pilnej roboty uzdrowienia moralnego naszej braci

szlachty, jeszcze zarażonej cięższą lub lżejszą formą demokracji narodowej polskiej: starać się ich dokumentalnie przekonać, że to kolosalne oszustwo, którego padli ofiarą, zawiązało im życie, zamknęło wszystko im i synom ich, że wywołało wybuch nacjonalizmu rosyjskiego i nadało temu nacjonalizmowi charakter nam wrogi, którego dawniej nie miał, jedynie jako nieunikniona żywiołowa reakcja przeciw bezczelnym pretensjom demokratów warszawskich do rozporządzania nami, Litwinami, i przyszłością naszą dla swoich nadwiślańskich interesów. Niech każdy z nas w swoim kółku w tym kierunku pracuje i stara się wszelkimi prawnymi sposobami otworzyć oczy jeszcze obalamuconej braci naszej, przekonywając ich, że jedynie możebny ratunek dla nas, a jednocześnie i obowiązek nasz jest — iść ręką w rękę z Rządem Rosyjskim przeciwko demagogom żydowskiemu, rosyjskiemu i polskiemu. Dopiero, jak się ta niezbędna nagląca robota uda zupełnie, a udać się ona musi — dość prędko, bo najdalej za lat kilka — wtedy starać się swoimi braćmi narówni ze szlachtą rdzennie ruską, zapelnąć, o ile potrafimy, urzędy miejscowe — cywilne, duchowne, wojskowe. Dość już tego „helotowstwa“ na własnej ziemi. Powinniśmy mieć prawo służyć wiernie Cesarzowi Wszechrosyi, też zupełnie narówni z tą szlachtą rosyjską, w braterskiej zgodzie z takową.

5. Wychowywać swych synów jaknajlepiej, jaknajstaranniej na obywateli pożytecznych dla swoich rodzin, pożytecznych dla ciaśniejszej swojej ojczyzny, to jest Litwy, a szczególnie pożytecznych dla szerszej, większej, wspólnej naszej Ojczyzny, to jest Rosyi.

6. Zostawać zawsze wiernymi synami Świętego Kościoła Katolickiego, jego zasadom i nauce, dokładając wszelkich starań, aby księża trzymali się rygoru, cicho spełniali swoje posłannictwo, byli tylko przykładnymi księżmi, a niczem innem, nawet wtedy, kiedy większość takowych będzie z naszych szeregów szlacheckich pochodzić.

7. Starać się, komu na to starczy, mieć swoich przedstawicieli w najbliższym otoczeniu Imperatora—

ażeby Monarcha nas znał, a wiadomości o nas miał nie od warstwy nam niechętnej lub tylko obojętnej, ale takowe wprost od braci naszych czerpał.

Tyle — jako dyrektywy życia naszego czysto ziemiańskiego wewnętrznego. A nazewnątrz powinniśmy, według zdania piszącego, trzymać się w miarę możliwości i potrzeby zasad naszych wyłącznie litewskich — a na to powinniśmy:

8. Stanowczo bezpowrotnie oddzielić się moralnie od Królestwa Polskiego. Na zawsze odpędzić od siebie samobójcze dla nas mrzonki o możebności zmartwychwstania wspólnej jęgzystencji politycznej z tym krajem, z którym nas niegdyś łączyła kilkuwiekowa wspólna historia, ale zawsze rozdzielała zasadnicza różnica rasy, poglądów, tradycyi, potrzeb i warunków życia.

W pełnej świadomości, że jesteśmy odrębną odwieczną szlachtą litewską, a nie sługami demagogów warszawskich, co szlachtę chcą zniszczyć, nigdy nie powinniśmy zapominać, że od całego już wieku oni nas wyzyskują — frymarcząc krwią i mieniem obalamuconych braci naszych — dawniej dla wywalczenia, a dziś już tylko dla wytargowania lepszych warunków dla siebie, zawsze gotowi nas „poświęcić“, jak to śmiał wypowiedzieć jeden z wodzirejów narodowej demokracji polskiej — byleby otrzymać autonomię.

9. Uważać, że wspólność języka i wyznawanie tejże religii wcale nie więcej nas, ziemian litewskich, wiąże z Polakami, jak wspólność języka francuskiego i po części tejże religii wiąże Szwajcaryę z Francuzami.

I w Szwajcaryi żyją wspólnie i zgodnie trzy narodowości — francuska, niemiecka i romańska — i tam jest kilka religii — a jednak ani do głowy żadnemu Szwajcarowi nie przyjdzie chęć, by zostać Francuzem, Niemcem lub Włochem, pod pretekstem, że niegdyś, przed kilku wiekami byli takowymi. Jest on dziś już tylko Szwajcarem i takim zostać pragnie. Tak samo my, Litwini, powinniśmy zostawać Litwi-

nami, rozumie się jako część składowa wspólnej ojczyzny naszej Rosyjskiej.

Stosunek do Litwinów.

10. Stosunek do Litwinów rdzennych, mówiących po litewsku, po żmudzku czy tam po łotysku, zachować powinniśmy dobry. W niczem im nie przeszkadzać — do niczego nie pomagać, a szczególnie nie dozwalać, aby nam, ziemianom kultury polskiej starodawnej, narzucali oni swój język lub swoją, dopiero mającą kiedyś powstać osobną kulturę. Z Litwinami, którzy dotąd są tylko chłopstwem, na pasku sfanatyzowanych księży idącym, nieokrzesanem, grubiańskim, o mo-no komunistycznych poglądach, trzeba nam szlachcie nie łączyć się, nie zwalczać ich, a tylko od nich pocichu stronić. Co z nich kiedyś będzie, nikt nie wie, a że są nam stanowczo wrodozy, to wiedzą wszyscy, lepiej więc pilnować się w stosunku do nich starej, zdrowej zasady — suum cuique — każdy przy swoim.

Stosunek nasz do Białorusinów.

11. Stosunek do „Białorusinów“ utrzymywać poprawny, ale nie uważać ich za naród osobno egzystujący, bo narodu „Białoruskiego“ niema, nigdy nie było i nigdy nie będzie. Są tylko białoruskie, to jest, „tutejsze chłopy“. Śmieszne wysiłki Demokracji narodowej do wytworzenia z tego szczepu rosyjskiego osobnej narodowości pod tym pretekstem, że po wsiach oni inaczej te same słowa wymawiają, aniżeli Rosyanie z dalszych gubernii, są zabawką małej garstki księży polityk-manów i ledwo kilkudziesięciu maniaków świeckich, tu u nas w Wilnie. Taka robota może tylko do wprost komicznych rezultatów doprowadzić — bez żadnej możebności jakiegokolwiek praktycznego wyniku ani dla nich, ani dla nas.

My szlachta w takie komedye bawić się nie po-

winniśmy. Nie nam, co ich mamy już tylu, zbierać nowych wrogów i łączyć ich między sobą. Białorusini są inni pod Mohylewem, aniżeli Białorusini z pod Wilna, a cóż dopiero „Pińczuki“ z Polesia. Inaczej mówią, inaczej żyją, inną religię wyznają, a posiadają wspólne z sobą cechy tylko dwie, a mianowicie: niesłychanie leniwą obojętność na wszystko i chytrość niesłychaną.

Żaden z tych naszych niby to głębokich polskich polityków, popierających wszystkie nacjonalizmy nawet zmyślane, nawet najdziwaczniejsze, byleby nie rosyjskie, nie będzie w stanie pokazać „białoruskiego“ chłopca, nie nauczonego poprzednio umyślnie, któryby na pytanie: „Kim jesteś?“ — nie odpowiedział: „Tutejszy“ — a co najwyżej nie wymienił religii, którą wyznaje. Słowo „Białorusin“, w świecie dziennikarskim i politykomanów, a nawet przeze mnie niekiedy używane z konieczności, do statystyk urzędowych bardzo niedawno wprowadzone, jest samym interesantem, to jest chłopom, najzupełniej nieznanem. Są oni i zostaną „tutejszymi“, a odrębność od Rosyi w ich głowach jest słowem, pozbawionem sensu. Nie są w stanie pojąć, skąd i na co miałyby powstać ta odrębność, bo w rzeczywistości dzieje się wprost przeciwnie. Obowiązkowa już oddawna dla wszystkich służba wojskowa, a szczególnie szkoły dla wszystkich obowiązkowe, już tak blizkie, coraz liczniej powstające szkoły wiejskie, gdzie dziatwę uczą państwowego języka, — swoje robią powoli i niezadługo dokończą; zrównanie gwary „Białorusinów“ z mową Wielkorusów w przyszłej generacji będzie już zupełne, bo nawet już teraz język „tutejszych“ zbliża się stale i coraz więcej do rosyjskiego języka centralnych gubernii. Staje się to najzupełniej naturalnie, zupełnie nawet bezwiednie, bo znikanie gwar miejscowych przed językiem państwowym jest zjawiskiem wprost żywiołowym, a więc w każdym państwie nieuniknionem. A gdy z własnej woli, czy z namowy księży „Białorusinów“ „tutejsi“ będą domagać się w kościołach katolickich wprowadzenia nabożeństwa dodatkowego

w swoim dyalekcie i, rozumie się, otrzymają takowe, to trzeba będzie kiedyś z Wilna tłumacza sprowadzać, aby dowiedzieć się z polskich napisów grobowych na dalekich cmentarzach, gdzie pochowanym został ostatni ziemianin tameczny o polskiej kulturze. Wtedy demokracja narodowa polska, która na to tak gorliwie pracuje, będzie mogła być zadowolona — kastowości już nie będzie! Na ogromnych przestrzeniach będą same chłopy i żydy; a cóż w świecie może być demokratyczniejszego?

Lecz tymczasem z tymi chłopami „Białorusinami“ czy „tutejszymi“ — żyć trzeba, a więc warto dobrze żyć, jak oni mówią, „po susietzku“ — jak sąsiedzi. Warto dawać im dobry przykład — niekiedy dobre nasiona. Warto nawet dawać im dobrą radę, jeżeli o to prosić będą, z pełną jednak świadomością, że, za tą radą oni nigdy nie pójdą, bo wierzą tylko księżom, z ich rasy pochodzącym, jeżeli są katolikami — a jeżeli są prawosławnymi, to nie wierzą nikomu.

A gdy niejeden z rosyjskich szlachciców nie bez zdziwienia zapyta: Jakże macie się tu odosobnić od wszystkiego i wszystkich? wyrzec się wzniosłej misji uszlachetniania tego narodu, dla którego w guberniach centralnych, obdarzonych ziemstwami, my, ruska szlachta, tak kolosalne ponosimy ofiary? To my musimy dać odpowiedź prawdziwą i szczerą:—Tak, panowie, musimy tymczasem wyrzec się tych ideałów szlachetnych, u was jeszcze możebnych do urzeczywistnienia, ale u nas nie. Bo nie jesteśmy, jak wy, szlachta rdzenna rosyjska, z włościanami jednym narodem, jednej mowy, jednej wiary i synami jednej przeszłości.

U nas zupełnie inaczej. Trzy główne ludy, z nami mieszkające, Rosyanie Białoruscy, Litwini i Żydzi, nie tylko, że nie mają, ale i nie chcą mieć z nami nic wspólnego. Dzieli nas od nich przepaść, na której pogłębianie składały się wieki i nie tylko klęski niebywałe, ale też i cały szereg przewinień naszych, waszych, ich i cudzych.

Winniśmy sami, bo przez cztery wieki nic dla

zbliżenia się z ludem nie zrobiliśmy — nic a nic — a teraz zapóźno, bo już teraz i nie potrafimy, i rząd Rosyjski na to niełatwo pozwoli, a same te nam wrogie ludy jeszcze mniej.

Winien Rząd Rosyjski, który za czasów Murawiewa, prawie pięćdziesiąt lat temu, z powodu szalonego i idiotycznego powstania 63 roku, chwycił się złej broni obosiecznej — waśniąc ludy, które uważał za swoje — ze szlachtą, którą uważał za wrogą.

A skutki tej kapitalnej omyłki dopiero teraz na jaw wychodzą. Ludów tutejszych Rząd Rosyjski nie zadowolił, bo nie wszystko im rozdał — ale za to dał im przejąć się do szpiku kości zasadami rewolucyjnymi. Szlachty ostatecznie nie zniszczył, lecz pozabawił siebie i monarchię naturalnej jej podstawy, a dziś, gdy rewolucja staje się coraz groźniejszą, Rząd nie decyduje się jeszcze w pełni zastosować do nas, Litwinów, tego, co zrobił w Rosyi rdzennej, to jest, stanowczego zwrotu na prawo.

Winne duchowieństwo katolickie, które przez ostatnie czterdzieści lat tak przesiąkło chłopstwem, że już elementem bezwarunkowo zachowawczym być nie może, ba — nawet zawiera w sobie osobniki, hołdujące socjalizmowi, a dworom szlacheckim wrogie.

Winni czynownicy rosyjscy, z rdzennej Rosyi sprowadzani, między którymi jest wielu, którzy, nie widząc, jak się czasy zmieniły — jeszcze dotąd myślą, że trzeba tu zawsze stosować zasady Murawiewowskie — stale zwalczać szlachtę i zawsze pobudzać chłopów, a więc tępić element zachowawczy, a popierać rewolucyjny. Podług tej przesłanki, dziś już zupełnie fałszywej, działają oni z logiką dziwą, którejby futro nosił do lipca, a słomiany kapelusz do Nowego Roku. Ale za to chłopstwo z logiką zupełnie trzeźwą od czasów Murawiewa święcie wierzy w to, że, ponieważ Rząd Rosyjski ich tylko uważa za swoich, to przyjdzie czas, kiedy im pozwolą szlachtę wyrznać, a ziemię między sobą podzielić.

Winni żydzi, ci naturalni i niepoprawni rewolucyoniści, którym się wydało, że nakoniec przyszła ko-

lej na nich i że, wytwarzając rewolucję, zapanują nad wszystkim, jak to się im we Francji udało.

Winni chłopci białoruscy i litewscy, których Rząd Rosyjski, przeważnie na nasz koszt, obsypał łaskami i dotąd obdarza, pomimo, że zaczyna już widzieć, jakie pomiędzy nimi zasady komunistyczne zrobiły postępy. A tymczasem te chłopcy, co wracają z Ameryki, a takich jest dziesiątki tysięcy, ci, co z pułków, gdzie byli z żydami, wracają, a takich są setki tysięcy, — bezkarnie i systematycznie propagują rewolucyjne zasady, stale buntują i moralnie psują tutejszych.

Jednym słowem, winni wszyscy — a wobec ogromu wyrządzonego zła, nie pora już odszukiwać, kto był od drugiego winniejszym. Pora elementom obecnie zachowawczym albo mogącym takowymi być, to jest przedstawicielom Rządu na Litwie, szlachcie naszej i Duchowieństwu, wziąć się za ręce, aby stanąć do walki z demokracją polską, dla której wszyscy tak nieostroźnie, tak ślepo, a niestety, tak gorliwie dotąd przygotowywali drogi, wiodące do rewolucji. Walka ta będzie mojem zdaniem niełatwą, bo mnie, piszącemu, który trzy czwarte swego życia spędziłem na podróży i długoletnim pobycie w różnych krajach Zachodu, zdaje się pewnikiem absolutnym, że ze wszystkich demokracji w świecie najnędną, najmniej usprawiedliwioną, najwięcej godną pogardy z powodu nędzy swojej umysłowej i moralnej jest właśnie demokracja polska, a dla nas najniebezpieczniejszą z powodu bierności i braku umysłowego hartu w wyższych warstwach społecznych dawnej Litwy i Rusi.

W takich warunkach, w takim pandemonium, w takim piekle pojęć sprzecznych, — my, szlachta, jeszcze sama poczęści chora, nie możemy zająć się altruistyczną pracą dla dobra innych. Powinniśmy natomiast jeszcze przez dłuższy czas myśleć wyłącznie o sobie, aby, jak się ta burza uspokoi, móżdżek mówić, co ksiądz rewolucjonista Sieyès odpowiedział, gdy go pytano, cóż on robił w czasie terroru: — „j'ai vécu“ — żyłem, — bo tak, jak wtedy dla niego u podnóża

gilotyny, dla nas tu niema nic mądrzejszego, ale też i nic trudniejszego, jak przetrwać — żyć.

Lata przejdą, nim wyleczy się cała szlachta nasza od zarazy demokratycznej. Nie zaraz też Rząd Rosyjski pozbędzie się zakorzeniałych przesądów swoich względem jej lojalności, dziś już chwała Bogu nieuzasadnionych, co do znacznej i lepszej części tej szlachty, ale mających, niestety, pewną rację bytu co do reszty. Nie odrazu powstanie ta wiara i ufność wzajemna, która powinna w Państwie monarchicznym kwitnąć między Rządem a szlachtą. A bez tego pożytecznej wspólnej pracy być nie może. Z obu stron trzeba jeszcze niemało rzeczy zapomnieć i wielu się nauczyć, trzeba więc na to dobrej woli i czasu. A póki to, [daj Boże co najprędzej nie nastąpi, na Litwie obowiązkiem naszym jest zostawić najzupełniej i wyłącznie inicjatywę samego Rządu Rosyjskiego całą robotę około oświaty, uspokojenia i umoralnienia ludów na Litwie, a szczególnie „ludu Białoruskiego“. Możemy pomagać Rządowi tylko dobrym przykładem. A propagandą tymczasem — nie. Podczas tej Rządowej roboty powinniśmy służyć mu wiernie, jeżeli będziemy jego urzędnikami, a zachowywać się biernie, jeżeli zostaniemy tylko ziemianami, bo jeszcze przez lata jedna nasza obecność szlachecka będzie pomimo wszystkiego wzbudzać niewiarę Rządu, a jeszcze większą niewiarę ludów tutejszych.

Wszystko, co Rząd teraz robi bez nas dla włościan, dla mieszczan, dla żydów, przyniesie lub nie przyniesie pożądane owoce — to jest zagadką przyszłości, ale za to jest pewnikiem, że wszystko to, do czego my, szlachta zachowawcza, teraz rękę przyłożymy, będzie uważane za zatrute przez wszystkich innych, nie wyłączając wielu, zbyt wielu przedstawicieli Rządu.

Trzeba więc z konieczności trzymać się czas jakiś rozumnego odosobnienia — tego, co angielski mąż stanu nazwał „splendid isolation“. A kiedyś, gdy się namiętności uspokoją, gdy pojęcia ozdrowieją i zapanuje pokój moralny, na sprawiedliwości oparty,

wtedy jako szlachta, ręka w rękę z Rządem idąca, pomyślimy o altruistycznej robocie. Lecz o tem teraz mówić nie warto, bo wówczas już dawno nas na tym świecie nie będzie.

Stosunek do mieszczan.

12. Stosunek nasz do mieszczan katolików o polskiej kulturze, którzy w miastach dawniejszej przedrozbiorowej Litwy, już prawie zupełnie wyginęli, a teraz poważniejszą grupę stanowią już tylko w jednym Wilnie, powinien być mniej więcej podobny do tego, który bywa między dalekimi powinowatymi o bardzo rozbieżnych ideałach i bardzo różnych stanowiskach, gdy ten powinowaty skromniejszy ciężko zachoruje i niema już żadnej nadziei utrzymania go przy życiu.

W innych swobodnych krajach naszej starej Europy mieszczaństwo jeszcze w średnich wiekach nabrało znaczenia i potęgi, która często równała się, a najczęściej przewyższała potęgę rodów szlacheckich.

Mieszczanie tam stopniowo gromadzili skarby złota i wiedzy, na nich się opierała władza monarchów i naturalnym trybem życia stali się oni najsilniejszym, najkulturalniejszym elementem Państwa. U nas w dawniejszej Polsce i Litwie nic podobnego nie było. Mieszczanie byli w znacznej części przybyszami z Niemiec, a szlachta niekiedy odznaczających się i bardzo bogatych mieszczan przyjmowała do swego grona, innych zaś stale trzymała w poniewierce, a drogę do znaczenia politycznego zawsze im zagrażała.

Właściwymi mieszczanami u nas byli tylko żydzi, ale jako naród osobny, nic wspólnego nie mający z ludnością chrześcijańską mieszczańską i chłopską i ze szlachtą, która krajem rządziła. Mieszkali u nas, nie z nami — tak było dawniej i dziś tak jest.

Dopiero po rozbiroze Polski, w ostatnich czasach mieszczaństwo w Królestwie Polskiem, szczególnie w Warszawie, zaczęło nabierać pewnego znaczenia, ale u nas na Litwie stanowczo nie.

W Wilnie garstka mieszczan prawdziwych, to jest takich, którzy nie pochodzą z zubożałych, a oddawna od ziemi oderwanych szlachciców, jest wprost znikomą.

Większość tych, tak zwanych mieszczan wileńskich są to majstrowie, czeladnicy i robotnicy, ubodzy i ciemni, a co za tem idzie, ciężką formą demokracji zarażeni. Potężna konkurencja żydowska coraz więcej ich gnębi, schodzą oni coraz prędzej do stanu proletaryatu, fizycznie i umysłowo upośledzonego, dla którego znikła już nawet wszelka nadzieja, ażeby cokolwiek mogło ich być polepszyć.

Jest to więc nieliczna klasa, na zgubę przez los nieubłagany przeznaczona, szybko upadająca i wprost nawet mało interesująca się sama przyczynami, które ją do zagłady prowadzą. Ale — mówią oni po polsku, są katolikami, a więc, póki nie znikną do reszty, trzeba w miarę możliwości nawet pewnym osobnikom pomagać. Lecz nam jakiegokolwiek plany na nich opierać, byłoby wprost szaleństwem, gdyż są oni nie tylko klasą zbyt niezaradną i już wymierającą, ale też nam, szlachcie zachowawczej, stanowczo wrogą.

Stosunek nasz do żydów.

13. Stosunek ziemian względem żydów powinien być nader ostrożnym i ograniczać się, o ile tylko można, do kwestyi materyalnych.

Piszący nie jest bynajmniej zasadniczym antysemitą, ale nie jest też ślepym i wie, że żydzi, którzy u nas na Litwie stanowią według oficjalnej statystyki znaczny procent ogólnej ludności, w rzeczywistości zaś znacznie większy od oficjalnego, są pod względem etycznym elementem stanowczo rozkładowym i stanowczo nam, szlachcie zachowawczej, wrogim, a wrogim nieprzejednanie.

Żyd, czy należy on do hasydów, czy do tak zwanych miznagid, czy jest on postępowcem, czy zacołańcem, czy nawet tak zwanym misiumedem, to jest ochrzczonym — jest w duszy i do śmierci pozostaje

zawsze rewolucjonistą w kierunku masoneryi obrządku Mizraim, a więc szczerze przekonany, że ludzkość trzeba oswobodzić od „hydry trzygłowej“, to jest od katolicyzmu, idei monarchicznej i wojskowości.

A że są oni przeciętnie o wiele inteligentniejsi od nas, bez porównania bardziej pracowici, a że mają za sobą wszechświatowe stowarzyszenie „Alliance israélite universelle“ — nic dziwnego, że wszędzie, gdzie im dano równouprawnienie, wnet dążą żywiołowo do panowania nad wszystkimi. U nas już tylko przez swoją obecność wśród nas stanowią oni niebezpieczeństwo groźne dla wszystkiego tego, co jest nam drogim, i dla wszystkiego tego, co usprawiedliwia i zabezpiecza nasz byt, jako szlachty. Niechże więc każdy z tych przesłanek bezwarunkowo pewnych, wyprowadzi konsekwencye należyte, bo autor zbyt wiele i zbyt długo mówićby musiał.

Skończyłem. Przerwałem milczenie, które mi ciążyło na sercu, wypowiadając głośno wszystko, co uważam za prawdę bezwarunkową. „Dixi et salvavi animam meam“.

Ignacy Karol Hr. Korwin-Milewski.

Wilno, 26 grudnia 1910 roku.

A teraz niechaj sobie mnie w redakcyach endeckich choć ukamienują kałamarzami. Przyzwoite w formie napaści odbiję rzeczowo faktami. Niechaj sobie żydzi i szwaby z rynsztokowej prasy warszawskiej szczekają i łają. W ich własnych piśmidłach dowiodę im kłamstwa, a najbezcześniejszych pozwę do sądu. Pójdą, czy nie pójdą do kozy, to czas pokaże, ale jedno już jest dziś pewne: żadne ich obelgi, żadne ich oszczerstwa nigdy nie osiągną wysokości mojej dla nich pogardy.



55568